

J.-A. KISIELEWSKI.

KARYKATURY.

ciad/0



KARYKATURY.

KOMEDYA.

RELSKI ANTONI
WITOLDYŃSKI
STACHOWSKI
RADOWSKI
ROZBORSKI
KALENICKI
JUROWICZ
LASSOTA
JESZ
ZOSIA
MATKA ZOSI
WALENTOWA
MIGDAŁ WOJCIECH
P. BORKOWSKI
P. BORKOWSKA
STEFANIA
LAURA
IGNAŚ
JOASIA, służąca.



106839



Działo się w stolicy W. Księstwa Krakowskiego, królewskim wolnem mieście Krakowie, w oficynach piętrowych, w realności i domostwie mieszczanina Okręglowskiego, które to domostwo, na chwałę Bożą, a pożytek ludziom dobrej woli, przez ś. p. dziada Okręglowskiego, mieszczanina przy ulicy Krupniczej wzniesione, numerem siódmym w księgach magistrackich sygnowane; w stancyi i przed jej drzwiami, Antoniemu Relskiemu, żakowi krakowskiej Almae Matris, za komornem miesięcznem 11 guldenów austryackich w srebrze podnajmowanej, a to w czwartym dniu miesiąca listopada roku od narodzenia Chrystusa Pana tysiąc ósmset dziewięćdziesiątym i szóstym.

— Pshakreff kikeriki Kremstange!

— Niema go w domu!

— Lecz duch jego przebywa w samotni, choć ciało krąży wśród kamiennych szpalerów.

— Właśnie, sądziłem... o tej godzinie miał być.

— Zimno jest. Wyważyć podwoje!

— Relskiego niema? Nic nie szkodzi.

— Niece. To nawet pomaga. Jednego kpa mniej.

— Klucz, klucz, klucz!!

— Dawaj!

— Stróż was wyrzuci.

— Albo my stróża.

Chrzest — weszli. — Ciemno. — Sześć sylwet majaczy.

— Niech się stanie światłość!

Głośno krzyczące cienie słowami skaczą sobie wzajem przez ramiona myśli: tu jeszcze siedzi na karku sąsiada, następny już goni krzykiem rodzącej się, świat zbawiającej idei.

— Kto ma zapaliki?

I stała się światłość, w smukłej o podłogę wspartej lampie, z głową całą w seledynach.

— Zbrodnia! Jaką ten Relski ma lampę!

— Królewski apartament, co?

— Na szezlongu siadać ostrożnie!

— Gryzie sprężynami. Już czuję.
— Witrażel! To jest byczy karton! Kiedy machnąłeś?
— Szelma Relski grypsnął mi pejzaż! Ten na prawo.
— Łożnica na cztery niewiasty! Tę lornetę mu ściągnę. Co ten idyota w cylindrze chodzi?

— Niece. Składa w nim smutne chustki do nosa.
— Kto z kolegów zdolen będzie milczeć przez pięć minut, pierwszy dostanie czarnej kawy!!

— Tyrania! Właśnie! Protestuję! Wolność słowa, towarzysze!

— Kolego Radowski, jesteście wstrętny i t. d. i t. d. biją się językami purpurowymi: Radowski, Stachowski, Lassota, Jurowicz, Jesz i Witoldyński; kolega Rozborski przeczy ustawicznie.

— Z koniakiem postępować należy bardzo subtelnie.

Tak rzekł Witoldyński.

Koliste, lśniące kieliszki szampańskie zapelniają się wrzącym płynem kawowym. Lotne słowa wirują po komnacie w lekkich tunikach z dymu sinego

...Ibsen, Gladstone, Munch, Kowalewska, Maeterlinck, Nietzsche, Björnson, Tołstoj, Boecklin, Dostojewski, Strindberg, Bebel, posłowie, dyabolicy, redaktorzy, mistycy, piąta kurya, feministki, palladyści, misogyni, dzień ośmiogodzinny, dramat parlamentarny z przeskokiem foteli, akustyka teatralna, barykada z pulpitów, votum nieufności, pięć absolutów (jeden dymisyonowany), artysta kapłanem — koniak arcykapłanem, jeżeli to wszystko nie skończy się na kobiecie, to jestem gips.

Nie mówiłem?... jest!

ROZBORSKI, WITOLDYŃSKI, STACHOWSKI, JESZ, RADOWSKI, JUROWICZ,
LASSOTA, potem ANTONI RELSKI.

ROZBORSKI.

Niece, niee —!

WITOLDYŃSKI.

Zasada: »pater ssemper nicertus«!

JESZ.

Wstrętne! Zwłaszcza, że Strindberg...

STACHOWSKI.

Ty jesteś »wstrętne« zestrindbergierowany!

ROZBORSKI.

Niece; mówiąc jednak seryo...

WITOLDYŃSKI.

Rozmowa »seryo« jest niedopuszczalna, ohydna, mieszczańska.

JESZ.

— i wstrętna. A co do podjętej przed chwilą kwestyi, godzę się ze Strindbergiem.

WITOLDYŃSKI.

W każdym razie — kobieta! Ona tylko jest odpowiedzialną.

STACHOWSKI.

Pozwólcież! Ależ...

LASSOTA na boku, do rysującego Jurowicza.

No, no—! Ciekaw jestem.

JUROWICZ.

Zaraz, zaraz. Czekaście.

STACHOWSKI.

...ależ kwestyę należy rozważyć ze stanowiska mężczyzny, równie dobrze, jak i ze stanowiska kobiety. Audiatur et altera pars!!

JESZ uderza pięścią w stół.

Sta..nowczo protestuję przeciw wstrętnej trywialnemu powoływaniu się na autorytet sentencyi!!

RADOWSKI.

Ha, ha, ha! Ty właśnie jesteś »wstrętnej wspaniały«!

JESZ.

Tak. Tak jest! To krępuje indywidualną wolność myśli i jest wstrętnej pospolite.

WITOLDYŃSKI.

Oczywiście. Banalne.

RADOWSKI do Jesza.

Proszę! Arystokrata. Własnie.

ROZBORSKI drapie się w ucho.

Niee, proszę kolegów, ja sędzę, w podobnym wypadku, wina jest obopólna.

WITOLDYŃSKI.

Wina?! Ależ to jest wprost skandaliczne mówić dzisiaj o »winie«. Nie macie chyba pojęcia o Nietzsche'm.

STACHOWSKI wstając.

Mnie się zdaje, że wy w ogóle o niczym nie macie pojęcia.

WSZYSCY śmiech. Okrzyk:

Górá matematyka!

WITOLDYŃSKI.

Protestuję przeciw tak lekceważącemu odzywaniu się o Nietzsche'm!!

STACHOWSKI.

Ależ nie o Nietzschem, tylko o tobie.

WITOLDYŃSKI.

Wszystko jedno.

STACHOWSKI.

Brawo!! Niech żyje Witold Nad-nietzsche!

WSZYSCY.

Brawo!!

JESZ młynek oboma rękami.

Jja sstanowczo muszę zaznaczyć i podkreślić, że podobne wywieranie terroryzmu gromady, wskazuje kolegów na jednostkę, jest..

STACHOWSKI.

Wiemy: wstrętne, pospolite, atque banalne.

JESZ.

Proszę mi nie przerywać. Wprawdzie, ja jestem stanowczo przeciwnym powoływaniu się na autorytety, jednak w obronie wolności, indywidualnej myśli, podnieść muszę, że nikt nie ma prawa komukolwiek zakazywania...

RADOWSKI.

...lokajstwa myśli. Ha, ha!!

JESZ rozwiera usta, chce mówić.

STACHOWSKI.

Zwłaszcza, gdy sam preopinant szacowny przed sekundą podjął kru-
cyatę przeciw autorytetom, mimo, iż ciągle powołuje się na Strind-
bergów i... i... Oryginalna logika!

WITOLDYŃSKI.

Gardzę logiką!

STACHOWSKI.

Tho zmienia postać rzeczy!

ROZBORSKI.

Niee, proszę kole..gów, logika nie jest głupia rzecz.

RADOWSKI.

Własnje prosz' kólegów. Ja widz', że dyskusia weszła na niewła-
ściw' tory. Bo własnje jeżeli mię ktoś coś zaczyna od kweśtyi, czy
zasada pater semper incertus może mjeć własnje w pódobnem wy-
padku zastósowanie, a potym zajeżdża własnje do logiki, to ja musz'
własnje prosz' kólegów zwrócić uwagie, że, że, wła... własnje... że...

ROZBORSKI.

Niee! bo kolego, coś znowu zaczynacie okrążyć.

RADOWSKI krzyknął.

Własnje! Ja chciałbym sobie zastrzedz, aby mnje ktoś zarzucał, że
ja, bo ja własnje mówcą nie jestem... i musz' prosz' kólegów przy-
pomjec, że w państwie przyszłości...

STACHOWSKI.

Ależ, słuchajcie, kolego. My chcielibyśmy wiedzieć, co w »państwie
teraźniejszości!«

RADOWSKI.

...bo, bo, w państwie przyszłości pódobne kweśtye własnje muszą
być usunięty, i, i, samó państwo własnje...

STACHOWSKI.

...delegować będzie specjalne mamki.

Wstrętne. JESZ.

Czekajcie. LASSOTA.

Dobrze. Niech sądzą. JUROWICZ.

Ja... ja... ja... RADOWSKI do Stachowskiego.

Przepraszam. Proszę o głos w kwestyi nagłej! LASSOTA głośno.

Kawy niema?! WITOLDYŃSKI.

Nie, gdzie Relski? — Wyszedł? ROZBORSKI.

Ależ proszę kolegów!! JUROWICZ.

STACHOWSKI.

Zapomnieliście, że gospodarza w domu niema. Hahaha! Banda piratów.

LASSOTA.

Idzie o to, czy estetyczniejszy jest akt kobiety, czy męski!

WSZYSCY krzyk.

Kobiocy! Rozumie się.

JESZ na boku.

Stupides Volk!!

LASSOTA.

Przepraszam. Ja jestem sta..nowczo przeciwnikiem. Pokazuje dwa szkice na kartkach, swój i Jurowicza. Proszę, proszę, porównajcie — tu są idealne kontury aktu męskiego, tu kobiecego.

JUROWICZ.

U kobiety łagodność linii, wspaniałe zaokrąglenia; akt męski brutalnie ciosany.

JESZ leży na łóżku.

Kobieta jest Szatana kochanką i dlatego jest wspaniałą w swej moralnej ohydzie.

LASSOTA do Jesza.

Tu chodzi o same linie, kolego!! Ach! Do Rozborskiego: Proszę, proszę, porównajcie tylko choćby Venus miłońską albo medycejską!

JUROWICZ.

...Tylko górne pół-aktu.

LASSOTA.

No, no! No to melijską — cały akt; z Appolinem belwederskim: jeżeli macie krztę poczucia estetycznego, przyznacie...

CHÓR.

Venus! Venus! Wenera!

LASSOTA zły.

Ależ to jest szczytem kretynizmu literackim łokciem mierzyć każdy rodzaj sztuki! Dlatego, że cały tłum o tradycje oparty, daje pierwszeństwo aktowi kobiecemu... i to dla czego? Jakie to nieszczęście! Mężczyźni tworzą opinię estetyczną, całą estetykę: gruby podkład seksualny!

JUROWICZ.

Hehehe! Prawi, jak stara emancypantka!

JESZ.

Wstrętne.

LASSOTA.

Tak jest! Seksualny podkład ma całą dotychczasową teorię.

ROZBORSKI.

Niee, kolego, gdzie czytaliście o tym grubym podkładzie?

LASSOTA.

Pozwólcie. Ale teraz weźcie, weźcie, ot Schneidra np.: czy on wam choć kawałek kobiety pokaże, a mimo to przepraszam... i właśnie dlatego...

JUROWICZ.

Pi, pi, pi! Dokąd ten zajechał! Ta tu, do dyabła całkiem inny kawał z tym Schneidrem!

ROZBORSKI.

Niee. Proszę kole..gów, to o tym seksualnym podkładzie nie jest głupia rzecz. Ale, do Lassoty uważacie kole..go, to da się jeszcze naprawić: kobiety teraz zaczynają się ru..szać, no to proszę kolegi, one wezmą się do estety..ki, to one uważacie kolego, będą z wami. Taak.

WITOLDYŃSKI.

Zaiste stał się »najcudowniejszy cud«: oto wiecznie negujący Rozborski po raz pierwszy w życiu powiedział »tak«.

ROZBORSKI.

...Niee, kole..go, niee!!

WITOLDYŃSKI.

Hehe. Do Lassoty Ale wy z tym seksualnym podkładem... to jest ciekawa rzecz. Ja wam mogę tyle powiedzieć: mógłby ten spór rozstrzygnąć tylko ktoś, co nie zaznał kobiety.

STACHOWSKI.

Oczywiście. Czystość wrażenia; bardzo możliwe.

WITOLDYŃSKI.

Hehehe. Kto jest tym mężem, niechaj wynijdzie na forum, aby uczczon był, jako Joseph castus! — Grobowe milczenie.

JESZ.

Jeden Antek, zdaje mi się... tak jest! I dlatego uwielbiam go!

GŁOSY.

Co?! Relski! Hahaha.!

JESZ.

Tak jest. I będzie wstrętnym w chwili, gdy kobieta w nim pokalał niepokalanie poczętą męską duszę. Psst!! Cicho, wskazuje drzwi. Lupus in fabula! Głosem garsona: Czarna w cienie raz!!

RELSKI wchodzi.

A—! grono dostojne!

CHÓR.

Daj czarnej kawy!

WITOLDYŃSKI.

Jeżeli lekcyę dostałeś...

RELSKI ucieka, chce mówić, koledzy z Witoldyńskim na czele krążą za nim.

WITOLDYŃSKI.

A jeśli nie dostałeś...

CHÓR.

Daj czarnej kawy!

RELSKI.

Dostałem! Pozwólcie... Dam — jeżeli mam. Wypiliście już, co!

CHÓR.

Daj czarnej kawy!

RELSKI.

Pozwólcie rozebrać się!

CHÓR.

Daj czarnej kawy.

RELSKI.

Czekajcie. Hol-la!!!

LASSOTA.

Relski, rozstrzygnijcie.

JUROWICZ.

Wolicie... akt męski czy kobiecy?

CHÓR.

Czarna w cienkiej raz!!

RELSKI.

Ależ kobiecy! Rozumie się!

JESZ.

Wstrętne! Ty, ty tak mówisz?

RELSKI.
Słuchajcie, rycerze! Oto lekcję dostałem.

CHÓR.
Daj czarną w cienkiej!

RELSKI.
Ale co za facetka — oszaleć!!

GŁOSY.
Kto? Co? Jak?

RELSKI.
Moja uczenica. Borkowska. Maturzystka.

JESZ.
Wstrętne.

ROZBORSKI.
Niee. Drukujecie. Inteligentna?

STACHOWSKI.
Dusza kobiety jest niewiadomą X.

JESZ.
...jeżeli ją w ogóle posiada.

RADOWSKI.
Nasza... nasza?...

LASSOTA, JUROWICZ.
Bruneta, blondyna?

RELSKI.
Nie wiem, nie wiem, nie wiem! Tylko oczy, szalone ma oczy i usta!
Ha, dziś we mnie zrodził się mężczyzna!

JESZ.
Stracony! Ach, Satans Buhlerin!

RELSKI wyciąga rękę.
Pragnę, pożądam wpleść dłonie w te płowe loki, na ustach zawi-
snąć i... pić, rozkosz pić... pić!

STACHOWSKI.

I stracić przytomność —.

RELSKI.

Chachacha! Matematyku trzeźwy! Ja dziś »otrzeźwiałem«... dziś dopiero przejrzałem! Książkę, którą miał w ręce, rzuca. Precz szmaty!!

Zagrzebany w bibule, jak mól, żyłem drukiem. A tu, tu harfa drzemała nieczynna, wielka harfa życia. Jednej struny mi brakło. Dziś mam ją... mam tę złotą!

Uderzę w nią silnie, przewodniczkę strun chóru, stworzę życia symfonię: orgią tonów zahuczy!!

Jej echem pieśń będzie, pieśń moja rytmiczna. Hurah!!!

JUROWICZ.

Oszalałeś pan!?

ROZBORSKI.

Dla jednej dziewczyny? Niee...

WITOLDYŃSKI.

Ty kochasz ją?!

RELSKI do Witoldyńskiego.

Ach, jak śmieszni jesteście! Oszalałem, oszalałem przez nią jedną dla... wszystkich. Dziś dopiero poznałem, czym dla mnie może być kobieta. Wszystko jedno, która... jaka. Rozumiecie? — Ko-bie-ta!!

RADOWSKI mina Kolumbowa.

Własnie, prosz' kolegów; ja sądziłbym, że Antós coś do druku gotuje.

RELSKI.

Hahaha, boski! Zbawco ludzkości!! porywa Radowskiego w objęcia.

RADOWSKI broni się.

Ależ... dajżeż... własnie...

STACHOWSKI kręci papierosa; bibułki rozsypują się; jedną z nich chwyta w powietrzu...

RELSKI.

Rozkosz chwytać w lot! Tak!!

Bibułka zmięta? STACHOWSKI.

Więc cóż? RELSKI.

Nic. Marna bibułka cygaretowa. STACHOWSKI.

WITOLDYŃSKI.

Po co to matematykowi siadać na symbole?

RELSKI.

O matematyko, Kassandrą być chcesz!?

A... tak wyrwać ją z tej menażeryi! Dalej! jazda »na wyżyny zawrotne... stawiać zamki błękitne«, jak twierdzi pan Solness..

...I że ta dziewczyna zdołała uratować duszę z pośród te hordy! ...To są okazy! W spirytusie chować i tournée po Europie! No, ale słuchajcie mężo, czemu zawdzięczam gremialne wtargnięcie do mojej samotni?

CHÓR.

Daj czarnej kawy!

ROZBORSKI.

Niee.

JUROWICZ.

Wiecie przecież...

LASSOTA.

Jutro zgromadzenie.

RADOWSKI.

Sądzę, nie odmówisz, ja własnje nie wierzę w to, coś ty miał powiedzieć Witoldyńskiemu.

RELSKI.

Co, co, nie rozumiem.

RADOWSKI.

Otóż, prosz' ja ciebie, dzisiaj na poufnem zebraniu komitetu naszej paczki, na mój wniosek, zdecydowano się na decyzję, własnje i ja

własnje imieniem radykalnej paczki, jako własnje mnie, z uwagi na osobisty nasz stósunek i żebyś ty jutro stanął, jako kandydat naszej paczki. Na prezesa.

RELSKI.

Nigdy!!

JESZ.

Dziękuję ci ściska rękę Relskiego.

RADOWSKI.

Antoś! Toż — co jest!?! Taż wszyscy faceci! Jednomyślna decyzja!

JUROWICZ.

Koniecznie. Musicie.

LASSOTA.

Innej rady nie widzę.

ROZBORSKI.

Niee, ja sędzę, choćby dla samej opozycji.

WITOLDYŃSKI.

Oczywista. Nie pozwolić głupocie królować.

RELSKI.

Pozwólcie! Ja ani myślę przyjąć. Wiecie, że wycofałem się od roku blisko. Ja... prezesem! Dobrze wybraliście się — dzisiaj!

WITOLDYŃSKI.

Zaczynasz być trywialnym. Jakieś skromności! Njesmaczne.

JESZ demonicznie.

Ija... chchociaż... dość znoszę Relskiego, oddam głos przeciw niemu.

RELSKI.

Ejże! Gotówbym stanąć, choćby dlatego.

RADOWSKI osłupiały.

Ta wszyscy faceci dają tobie votum zaufania... i ty odmawiasz?!

JESZ.

Bo to byłoby wstrętne, gdybyś ty poszedł w usługi gromady.

RADOWSKI do Jesza.

Ja protestuję i odwołuję się do zgromadzenia. To jest szczepienie bakcyła dekadenci na kwestyach społecznych...

JESZ.

Wy..praszam sobie używanie podobnej terminologii!

WITOLDYŃSKI.

Kolego Radowski, pozwólcie sobie zwrócić uwagę na to, że tu niema »zgromadzenia«. Hehe! Baccyllus decadentiae!

RADOWSKI.

Tu obrażają moje zapatrywania. Społeczne. Własnje...

JUROWICZ.

Zabagniacie sprawę.

LASSOTA.

Relski musi przyjąć. Niema co.

WITOLDYŃTKI i ROZBORSKI.

Musi?! O—!

RELSKI.

Ależ, zlitujcie się, ja nie mam warunków na prezesa. Nie zdolny jestem. — Dobrze wybraliście się! Zwłaszcza w tej chwili—!!

I do tego w studenckiej instytucji finansowej, w której musiałbym wieść ciężko poważną politykę! Dajcie pokój!

RADOWSKI.

Obowiązkiem jest na każdym polu pracować.

RELSKI.

Obowiązkiem!? A, moi drodzy! Dlatego właśnie nie przyjmę. Nie znoszę żadnych kajdan... nie potrafię! Wolność, nadewszystko wolność mi zostawcie.

JESZ.

Tak jest: indywidualną swobodę.

RELSKI.

Albo obowiązki (wielkie czy małe) przyjmuje się i wypełnia — do

czego nie mam ochoty, albo wcale się ich nie przyjmuje. Skończyłem. Kandydatury nie przyjmę.

RADOWSKI.

To ja, prosz' kolegów, muszę skonstatować własnie bardzo smutny objaw. Kompletny zanik poczucia obowiązku względem społeczeństwa.

JESZ.

Wstrętne!!! Społeczeństwo nie ma prawa nakładać więzów wbrew woli jednostki.

WITOLDYŃSKI.

Tak, kolego Radowski; zwłaszcza, iż to in..dywiduum nie stało się dobro..wolnie częścią danego społeczeństwa.

STACHOWSKI do Witoldyńskiego.

Troszeczkę zagalopowałeś się pan. O ile n. b. idzie o stowarzyszenie.

RADOWSKI.

Hańba, własnje! W takich stósunkach musi królować reakcja. W takich stósunkach musi społeczeństwo! Musi gnić! W takich stósunkach musi się dojść do tego, że się własnje za kieliszek absyntu sprzedaje łaski ludu!

JESZ krzyczy.

Proszę o głos w nagłej kwestyi absyntu, sprofanowanego niecnym szantażem!!

RADOWSKI.

Hańba, hańba! W takich stósunkach dla mnie miejsca niema. Ja nie mogę! Hańba! Porywa płaszcz, wychodzi.

JESZ wrzeszczy.

Proszę o głos w nagłej kwestyi sprofanowanego absyntu!

LASSOTA.

Ależ, Relski, słuchajcie...

ROZBORSKI.

Szkoda, szkoda. Niece.

RELSKI.
Nie, nie i nie!
JUROWICZ.
Zwyciężą tamci. Relski!

Pasmo blado-różowego światła oświeca pokój. Z oddali dochodzi odgłos trąbki pożarnej: stłumiony jęk. Na ulicy rośnie gwar.

STACHOWSKI.
Cicho! Słyszycie...
Przeciągły jęk trąbki pożarnej. Tentent, turkot, gwar.

JESZ z radością dziecięcą.
Łuna!! Zgasił lampę. — Łuna.

LASSOTA i JUROWICZ.
Na Wiślniej. Chodźcie. Wybiegają.

WITOLDYŃSKI.
Antoś! Chodź.

RELSKI.
Zostaję.

JESZ w pogoni.
Rreinculturen von Typhus und Cholerabaccyllen!!

Milczenie.
Purpurowa łuna zalewa pokój. Po bruku ulicznym dudnią beczkowszy; pełnym galopem.

RELSKI sam, o okno wsparty, patrzy w lunę czerwoną.
Twarz poważnieje; jakiś smutek osiada na czole. Westchnienie. Mówi cicho, powoli.
Świat płonie. Szalony, biedny świat! — Znów sygnał trąbki pożarnej. — Ach! piekielny jęk!! Zrzuca storę, rozświeca lampę.

STACHOWSKI i RELSKI.
STACHOWSKI wchodzi.
Wracam. Ty nie idziesz?
RELSKI.
Po co? Na pożar gapić się?

STACHOWSKI.

Wróciłem się, bo widzisz, słuchaj... Dobrze byłoby, gdybyś wziął kandydaturę. Masz niemal ogólną sympatyę...

RELSKI gest niechęci.

Mój drogi, przynajmniej ty mógłbyś zrozumieć, że nie mogę. »Ogólna sympatya!« Chcecie mieć we mnie kompromisowego prezesa. Dziękuję.

STACHOWSKI.

Ach, skąd kompromis?

RELSKI.

Do licha, nie macie już nikogo więcej? — Zresztą, kompromis nie kompromis, jest mi obojętne, ale dałem sobie słowo, że do żadnych tego rodzaju »honorowych« posług nie pozwolę się używać. Mam dosyć wyborów. Wielkich i małych. Do dziś dnia nie mogę pozbyć się niesmaku po tych brukowo-ideowych świństewkach.

STACHOWSKI.

Ha, może masz rację.

RELSKI.

Nie, ale, ale, — no, ale już dosyć mam. Niech teraz inni. — Pauza. — Napijesz się ze mną?

STACHOWSKI.

Dobrze. — Piją. — Antek... Hm. Nie masz monety? Potrzeba mi 6 zł.; pięć brakuje do czesnego... uwolnili mnie od połowy. Jutro ostatni termin.

RELSKI.

Hehe! Wieczna, nieśmiertelna kwestya! Szuka w pularesie. 2 guldeny w srebrze, 30 halerzy w niklu, 7 karbowanej miedzi i guzik.

STACHOWSKI.

Tę ostatnią monetę daj do muzeum, stary idyoto! Chacha! A szewc, kanalia, butów mi nie wyda bez szóstego guldena!

RELSKI.

Co tu zrobić? Borkowskich naciągnąć na zaliczkę zaraz drugiego

dnia... nie idzie. Zwłaszcza, że się im postawiłem po dżentelmeńsku. Hm. Ale hej, psst, jest! Dwie poduszki piekielny luksus. Sprowadź żydowinę...

STACHOWSKI.

Pościel sprzedawać! Tego brakowało.

RELSKI.

„Sprzedawać, dopóki nie braknie — jest moją zasadą.

STACHOWSKI.

Spać w hotelu »pod Jowiszem«, jeść u Lukullusa »raz na widelec«, ubierać się w listek figowy...

RELSKI.

...to będzie moją zasadą. Nie bądźże tak poduszkowo sentymentalny. Furda, mości Stachowski. Patrz w górę; szybuj wzrokiem sokoła po ścianie onej, a natkniesz się na prorocstwo urągające Akibie: »Wszystko będzie, mawiał ben Relski«.

Gotuję kufer stimungów, kosz sonetów; powiadam ci...

STACHOWSKI.

Wiem, wiem. Góry złota, Sahara szlachetnego piasku i t. d.

RELSKI.

Idźże pan, idźże pan, bo pana wytnę wypycha Stachowskiego. Za drzwi, za drzwi! A żebyś mi się nie ważył wrócić bez mojego mecenasa!

STACHOWSKI.

Szpitalna 15.

RELSKI.

To twój. Mój pod 17. Przez drogę wyłóż mu, że robi majątek na mnie. Ta poduszka i te dwie pary, że się tak wyrażę, pantalonów, po mojej śmierci...

STACHOWSKI.

Wiem, wiem. Do British Museum.

RELSKI.

O ile Ameryka nie podkupi. Wychylając się za drzwi Nie zapomnij o rab-
bim Ben Abuja. Kłaniaj się Mojżeszowi. Przez chwilę stoi w środku pokoju,
milcząc. Ha... no! Z życiem w zapasy!

ZOSIA i RELSKI.

W tej chwili z trzaskiem otwierają się drzwi, wpada ZOSIA zdyszana, śmiertelnie zmę-
czona opiera się o drzwi. Błada. Oczy błędne.

RELSKI.

Zo... urywa.

ZOSIA stoi, ciężko oddechając. Ogląda się po za siebie; milczy.

RELSKI.

Zosia. Ty tu? Co to...

ZOSIA.

Drzwi! Niech Antoś drzwi zamknie.!

RELSKI.

Proszę uspokoić się. Co to znaczy? Proszę powiedzieć.

ZOSIA.

Gonia mnie! Drzwi. Może nie widzieli... Niech...

RELSKI zamyka drzwi.

ZOSIA osuwa się na kufer obok stojący. Oczy spuszczone, dłonie splecione jakimś ruchem
rozpaczliwym. Milczy.

RELSKI.

Niechże coś powie. Choć słowo. Co się stało? —

ZOSIA zsunęła się na kolana.

Panie Antosiu... niech mnie Antoś struje, albo co... Ale ja się do
domu nie wrócę!!

RELSKI podnosi ją, sadza na szezlongu.

Co robi! Co Zosia mówi!

ZOSIA po chwili.

Antoś u nas nie był, to nie wie.

A dwa dni w domu nie byłam, ojczym chciał bić, i dwa dni chodziłam. Wieczór, po robocie. I nigdzie nie spałam. A tu isć, wstyd mi było. Aż i głód, taki straszny głód!

Dzisiaj wróciłam do domu, niema godziny, a ojczym na mnie się teraz porwał. I mama odratować nie mogła, zbił mnie i mamę...

RELSKI.

...Bydlę nikczemne!

ZOSIA.

Ażeby mu tego Bóg w niebie nie darował! Łka. Jakie on do mnie ma prawo?! Ten wächter od złodziejów, a sam zbój, pijanica!

RELSKI.

Ale... za co, a co, jak?!

ZOSIA milczy. Nagle rzuca się do nóg Relskiego, lkając, całuje jego rękę.

RELSKI.

Co robisz? Co Zosia robi! Wrywa dłoń.

ZOSIA.

Niech... mnie Antoś wygoni, to ja pod progiem, jak pies; a na cudze dzieci nie pójdę. — Milczenie — mówi jakby do siebie:

Cóż to ja jestem: ojczym nic, tylko ...ty musisz za niego pójść, musisz. ...Ja ci rozkazuję... A jakie on do mnie ma prawo?... Pięcioro dzieci; i stary wdowiec.

RELSKI brwi marszcząc.

K..to?!

ZOSIA.

O..on. Co ja się miałam za niego wydać? Też wächter. I dom ma swój; to myślał, że se mnie kupi...

To Antoś nic nie wiedział? —

A ja, to jak do domu od roboty wracałam, to zawsze w okno patrzyłam: czy się u pana Antosia świeci, czy nie.

Pan Antoś do nas nigdy nie przychodził... a mnie się działo już nie wiem co! Ja już całkiem jestem waryatka.

A dziś, to jak mnie ojczym chciał bić, to mnie tak gnało, aż tu... i jak ślepa leciałam tu, ino tu... Dreszcz z trwogą ogromną: Antoś mnie nie wypędzi, prawda, panie Antosiu? Antosiu, prawda?...

Niech pan Antoś o mnie se myśli, co chce, ale ja nie mogłam. Chciałam se zrobić śmierć, ale jeszcze choć widzieć chciałam Antosia.

Nie... wy..pędzi!?... Przytula się do rąk Relskiego.

RELSKI.

Uspokój się, Zosiu, Zosiu! A-a, zziębła; ręce, jak lód. Zaraz zrobię herbaty. Wstał. Aha, może Zosia wódki; mam trochę koniaku... Cała mokra! A może Zosia co zje?

ZOSIA.

Dwa dni chodziłam sama po robocie i na noc nie poszłam. Bałam się, żeby mnie pod telegraf nie wzieni. A mróz i teraz, śnieg idzie... Niech Antoś się napije tyż, no, niech się pan Antoś napije...

RELSKI.

Dobrze. Pije, nalewa, podaje Zosi.

ZOSIA.

A teraz, niech upije trochę z mojego kieliszka...

RELSKI.

Hehe.

ZOSIA.

No, proszę ja Antosia. No.

RELSKI.

Ty dziecko. Upił, podał Zosi.

ZOSIA.

Jeszcze. Dać.

RELSKI.

Ciepłej teraz?

ZOSIA.

Aha.

RELSKI.

Herbata zaraz. Co Zosia chce jeść; posłę zaraz?

ZOSIA.

Nic. Ja teraz nie mogę.

RELSKI.

Albo sam skoczę przynieść.

ZOSIA.

Nie, nie! Nie odchodzić.

Cisza. — Syk spirytusowego sinego płomienia.

ZOSIA.

...Co sobie pan Antoś o mnie pomyśli. Zakryła dłońmi twarz. Ale niech! Bo ja sobie myślałam... że przecież —.

Jak Antoś u nas na stancyi stał. Pamięta Antoś? W gimnazjum. To przecież nie tak dawno. Nie, nie, po co ja to mówię!

RELSKI.

Mów Zosiu, no mów. Siada obok niej. Kładzie swoją dłoń na jej ręce u kolan splecione.

ZOSIA.

A ja wiem, że Antoś śmiać się ze mnie będzie.

A... nie wie Antoś, haha, jak to się dziwił nieraz, że mu nie braknie tytoniu w tytonierce. — To ja. Coś się tam zrobiło, a musiało być. W nocy nakładałam, żeby Antoś miał zawsze cygara.

A jak Antoś na skrzypcach grał. Ja słuchałam; co ja sobie wtedy myślałam!

Bo, bo przecież ja, chociaż szwaczka, ale i nie z podłej familii.

Ale potem... pan Antoś od nas poszedł, jak się do egzaminów uczył, a mama się wydała za... za tego... to Antoś... i cóż ja będę gadać to wszystko! ...Ja wiem, że Antoś tylko śmiać się będzie, a to jest moje nieszczęście.

RELSKI.

Płonę... goreję!... Wstał.

ZOSIA.

Co Antoś mówił?

RELSKI.

Nic, nic, Zosiu, mów, dalej, opowiadaj, mów. Automatycznie nalewa sobie koniaku. — Pije. — ...Ah!... kieliszek rzucił na stół.

ZOSIA.

„A teraz to mnie już wszystko jedno. Niech się dzieje, co chce. Bo ja... zawsze... i ciągle... i we dnie i w nocy... myślałam. Potem wiedziałam, że przecież ja nie dla Antosia... Chciałam zapomnieć.. a już nic a nic i już nie mogłam! —

RELSKI.

Mów, dalej, opowiadaj jeszcze, jeszcze, mów.

ZOSIA osuwa głowę na jego piersi. Przymruża oczy, cicho, sennie szepcze:

Ale teraz tak ciepło się robi i w głowie tak dziwnie... I tak jest dobrze... tak dobrze... ach! dobrze!... A... a choćby się teraz ziemia pod nami zapadła!!! —...

RELSKI i ZOSIA już od roku mieszkają na Grzegórkach; pokoik na czwartym piętrze nowo-zbudowanych koszar mieszkalnych, recte na poddaszu. Kuchnię mają wspólną wraz z szewcową panią WALENTOWĄ; tam gotuje się obiad; makaron jednak można pokrajać u siebie; a w niedzielę wolno zlepić uszka do barszczu. (Siekane grzybki, owinięte w ciasto). Też u siebie. Na stolnicy.

Antoś wyszedł dzisiaj przed dziewiątą rano: w biurze weźmie urlop, u Schwindla ze Szpitalnej frak (półtora guldena za wypożyczenie na 12 godzin i kaucyi dziesiątka!) — bo Antoś dzisiaj, moja pani, zdaje egzamina jakieś tam. Tyż tu nie posprzątane, ani łóżka nawet; człowiek się krząta, kręci, bo ani czasu na uczesanie, a tu obiad trza przyrządzić. — Tylko moi drodzy, cichutko, no, proszę ja was: słyszycie...

ZOSIA, WALENTOWA i MATKA.

ZOSIA.

A... a,
Kotki dwa,
Szare, bure, obydwaj;
A... a...

Kotki dwa, szare... bu..re... Spi. Hysiaj, dzieciątko, hysiaj, gwiazdeczko, hyś! Wpatrzona w dziecko z uśmiechem, stoi nad kołyską. Aha, poduszeczkę trzeba poprawić. Maleństwo moje.

Która też to godzina? Dwunasta! Biegnie ku stolnicy, kraje makaron. Nóż na ziemię spadł z brzękiem... Aj!... Biegnie ku dziecku. Hysiaj, robaczku!... Spi.

WALENTOWA wbiega.

Proszę pani!

ZOSIA.

Cicho! Dziecko się zbudzi.

WALENTOWA.

O, jej. Wielgie cuda! Szeptem: Proszę pani, jakaś pani. Pyta się o paniom.

ZOSIA.

Kto taki, ktoo?

WALENTOWA.

Taka se pani. W latach już osoba.

ZOSIA.

Tu chce przyjść? Po co. Antoś nie kazał nikogo...

WALENTOWA.

Ja też jij mówiłam. Choć ta nie wiem, czego się ta pan tak ludzi boi. Swoja rzec. Nie takie się na świecie... Panie Boże!

ZOSIA.

No, ale kto? jak ubrana?... Mama!!...

Weszła MATKA ZOSI, kobieta zniszczona; lat ma około 50. Twarz sterana. Czarne ubranie przedmieszczanki. Na szyi różaniec.

ZOSIA podbiega — stanęła, waha się. Nie widziała matki tak dawno... I teraz.

WALENTOWA do siebie.

Matka. Ale, ale!

MATKA.

Do pani córki nie łatwo się dostać. Nawet matce.

ZOSIA, milcząc, całuje ręce matki. Oczy ma spuszczone ku ziemi. A w oczach coś, jakby łzy.

WALENTOWA.

Oj, to pani jest matka pani! Podaje stołek. Ano, to ja nie wiedzący, musiałam się spytać, bo pan taki jest waryjat... nie, nie, ino... Zatyka sobie gębę.

ZOSIA.

Co też pani Walentowa mówi!... Niech mama się nie gniewa. Bo to Antoś kazał, bo żeby obcy ludzie...

MATKA.

Hej, matka — to »obcy ludzie!«

ZOSIA.

Ale nie — mamó!

MATKA rozgląda się. Wstaje, idzie ku kołysce, stoi nad nią. Patrzy na dziecko.

Biedactwo. —

ZOSIA.

Cicho, mamó — śpi. A prawda, śliczny?

WALENTOWA do matki.

Co pani to już sama nie wie, co z tem robić. A chodzi koło tego, jak nie wiem co! — Pauza. —

MATKA siadając.

Ano, Zosiu, przyszedłam ja do ciebie, skoroś ty do mnie nie chciała. Przez cały rok! Oj wywdzięczyłaś się ty matce za wszystko.

ZOSIA.

Niech mama nie gniewa się; ale ja nie miałam śmiałości i bałam się. Antoś, i chora byłam...

MATKA,

I nawet na pogrzeb nie...

ZOSIA.

Pogrzeb? Kto umarł?

MATKA.

Ano już dwa tygodnie będzie; mój umar.

ZOSIA.

Oj...czym?!...

WALENTOWA.

Ale, halee!

MATKA.

Panie! świeć nad jego duszą! —

Ani na pogrzeb. — Bo choć ta ci był ojczymem, ale już na boskim sądzie.

ZOSIA.

Nie wiedziałam.



WALENTOWA.

Umar..pan! Co pani to już i o świecie zapomniała, a nic nie wie. Ino cięgiem koło dziecka, albo przy panu.

MATKA.

Ha, no — i dla mnie on ta nie był dobry. Zwyczajnie mąż. Ale już i grzech wspominać, skgro się panu Bogu...

WALENTOWA.

I co się to panu stało, na co się to zmarło?

ZOSIA.

...Za moją krzywdę!...

MATKA wzdycha.

Hej, hej. Zamyśla się. Ja mu ta nie wypominam, bo już i na boskim sądzie, ale pijał i pijał, a mnie do ciebie iść odkazywał; mówił, że zabije. Okrutną miał złość do ciebie.

Ano, to mnie było markotno bez ciebie, ale wola Boża. Raz to ci się upił, ja mu ta nie wymawiam, bo po katolicku skończył i coś go potem na wnętrzu paliło: doktorzy nic; i tak już het! — Z ożywieniem: A pogrzeb, to ci był taki wielgi i trzech księży, jeden jako niby za moje pieniądze, a dwóch od harestantów; panów ci było tyle, niby, że on był przy sądzie.

Był ta i on... nie wymawiając... ale zwyczajnie mąż.

WALENTOWA Teza.

Człowiek nie wi, gdzie, co jak — a że to i już. Wiele się rzeczy na świecie widziało.

MATKA.

Ha, no — tak i koniec. I teraz to ja przyszłam tu, niby żebyś się ty do domu wróciła.

ZOSIA

...Ja... do domu?!

WALENTOWA.

Ale, ale!

MATKA.

Bo to widzisz, dziecko, chociaż ty mnie nie uczyniłaś, jako dobra córka, ale ta zawsze matka matką. Ja ci odpuszczam, bo ta i mój trochę winien... Zawsze to przy matce inaczej, a nie tak, na wiarę żyć, boska obraza—.

ZOSIA.

Ale mamó, mamó! — co mama plecie!! Moje prawo przy dziecku i przy Antosiu!

MATKA.

Twoje prawo przy dziecku? to ja ci przecie dziecka nie wyrzucę za próg. — A pan Antoś, pan Antoś! Nie ten to Antoś, co na stancyji stał. Hej, tak, tak. Ja mu życzyłam, jak matka rodzonemu a on co?

WALENTOWA.

Bo to, prawdę mówiący, pan to je, choć dobry pan i mądry pan, ale bo jes waryjat—.

ZOSIA.

Moja Pani Walentowa!! Niech pani nie tka palca między drzwii. Także coś!! Chodzi, coś gestykując. Co mamie do głowy przyszło, co mamie do głowy przyszło!

Cz., czy mama wie, że on dzisiaj egzamina zdaje! czy mama wie, że on się ze mną ożeni? że on mnie kocha, że ja bez niego jednej godziny nie mogłabym żyć! Moje prawo ...także coś!

A ta on by mi nie wiem co zrobił, gdyby wiedział, że mama tu była z takim gadaniem! Co mamie do głowy przyszło?

WALENTOWA.

Ano, wiele się rzeczy na świecie widziało, ale żeby pan się z paniom... ha, no—!

MATKA.

Dziecko miałabyś przy sobie, a on niech płaci. A jakby nie chciał, to do sądu podać!

ZOSIA.

Moja mamó— . Całuje rękę matki. Dziękuję mamie za wszystko dobre, ale niech mama idzie, ja skoczę do mamy kiedy, gdy będę mogła, ale niech mama teraz idzie, żeby mamy tu nawet nie widział, bo ja nie wiem co—!

WALENTOWA.

Bo choć ta pani edukowana, o, jej — i śliczna, na psa urok, ale, żeby tak coś, niby ślub... ha, no!— wiele się rzeczy...

MATKA.

Skoro tak ci obiecywał, to czego nie zrobił pierwej —. Ino ściągał i ściągał, aż i teraz już po harapie. — Oj głupia ja matka, żem ja się tobie z nim zadawać dozwalała. Ale człowiek inaczej myślał a dobrze, jakby rodzonemu.

ZOSIA.

A to skaranie Boże! Taże ja mówię mamie, że nie miał lat i nie miał egzaminu jakiegoś tam, a teraz już i wojsko uspokoił i lato i dzisiaj już egzamin... pomyśl se mama, ja profesorową będę — pro, fe, so, ro, wą!!

POPZEDNI i WOJCIECH MIGDAŁ.

Otwierają się drzwi, wkracza WOJCIECH MIGDAŁ. Ubrany jest, jak podgórski amant. Młodzian lat 25, jedno oko rybie, zresztą cały jest, jak się przynależy. Idzie manifestacyjnym krokiem, staje, front:

Jézdem Migdoł, hohehé!

ZOSIA ze śmiechem,

Thakże coś! Hahaha! Jak się pan Wojtuś ma?

WALENTOWA.

Wojtuś Migdoł, ale alée! Bedzie szopa, alé!

MIGDAŁ.

Towarzyszka mama, mówiła pannie Zofiji?

MATKA.

Jeszcze nie mówiłam.

MIGDAŁ.

Ano to wskoczyłem z przeproszynie jak kóminiarz na paragraf drugi, hehehehe! Przybiera pozę mówcy; kobiety siadają; śmiejąc się, czekają.

Hrrm! Panno Zofijo! popatrzyl w stronę kołyski. Hrrm!— —E; skoro mi gdzieś wyleciało bez drogę, hohehe!

ZOSIA akcentem andrusowskim.

A niechże pan Migdał każe obębnić, może ludzie znajdą.

MIGDAŁ.

Panna Zofija sama będzie bębnić, hehehe. Wyciąga z kieszeni małą manierkę. Możebyśmy przytkneli? Przytyka się palcem w podgardle. Jédwabna w kratę! Na rozwiązanie języków! Przypija. Pijcie, towarzyszki podaje Zosi.

ZOSIA.

Idźże pan! Także coś.

MIGDAŁ.

Pijże, towarzyszko, nó—.

ZOSIA wrusza ramionami, podaje manierkę Walentowej; ta pije.

MIGDAŁ.

Nie, to nie. Takeś sie już towarzyszko na burżujke skierowała!

MATKA.

Niech pan Migdał już mówi z czem przyszedł.

MIGDAŁ.

Hrrm! Szanowne zbiegowisko!

ZOSIA.

Hihihih!

MIGDAŁ.

Towarzyszko Zofijo i wy mama dobrodziko. Wicie, jakom jest krawkowskie dziecko, przez urazy, w durch. Żem jest chłopiec i towarzysz, jak się przynależy. Jak robie, to robie, jak pije, to pije, jak kocham, to kocham — ja sie ta nie bede chwalił. Ale robota sie mi

w rękach pali i przed fajerantem fertyk! Niechno majszter nademną se psuje gębę, to mu sie robi ciepło. Ja sie ta nie bede chwalił.

Ino ryzelucyj tako: nie chcieli, ale musieli, wyzwolili mnie, a tu mama dobrodzika, ukłon, nasuwa sie na mnie i mówi o pannie Zofiji, niby że my oddawna kamraty... Zosia wstała... i że jako i mnie chyba casz, a niby, wedle opierunku. Ja sie zamyslił, jako głośować, a mama dobrodzika prawi deklaracyj, jako, niby, z przeproszeniem, nie wymawiając, patrzy w stronę kołyski, tee, wedle tego, za honor...

MATKA.

Znajdzie się ta w skrzyni do pięćset guldenów, to mnie na stare lata dacie łóżko i w święconej ziemi pochowanie...

ZOSIA.

...Mamo!! — E, już nawet szkoda mówić! idzie ku stolnicy, zajmuje się robotą.

MIGDAŁ wkłada ręce w kieszenie marynarki; oko przymrużając — prawym łokciem wachluje, bokiem podsuwa się ku Zosi.

Z kim..że, z kim..że panno Zofijo! Z kimże w tany? Z kimże wysuwa!? To ja pannie serce niese czyrwone, panna nie chcesz gadać?! Z kimże w dyrdy, z kimże okoliczność!?

A cóż panna Zofija, na taki artykuł: — Dwa tygodnie nima, jak zleciała na mnie kamienica po stryjcju, w Psi Wólce, he? —

WALENTOWA.

Ale, moja pani, moja pani—hale, hale!

ZOSIA.

A słoma na dachu bardzo zbutwiała? Na tej kamienicy.

MATKA.

To sie da nową poszywkę, a za pięćset ryńskich warsztat, i będziesz panią.

MIGDAŁ.

Ja chamów skieruje na towarzyszy, zgromadzynie po zgromadzyniu, szopa po szopie, aż mie z urny wyciągną. Potem do Widnia wy-

liwę — bede i towarzysz i burżuj, hohehehe. Z serdeczną prośbą: No panno Zofijo, jakże będzie, jakże będzie z nami, nó —?

WALENTOWA, trzęsąc głową i całą osobą, jako i rękami fartuch gładzący.
Wiele się rzeczy na świecie widziało. Ale, ale. Ja ta radze, jako niby ja, to mi sie widzi, że pan Wojtuś... Do reśty, jak ta pani uważa.

ZOSIA.

Panie towarzyszu, kiedy pan tu miałeś iść, ile razy piłeś siarowę z mocną?

MIGDAŁ.

Takie sprawozdanie! Ściska pięść. Takaś mi panna za moje ochfiarowanie, takie buty!?

MATKA.

Zosia, pożałujesz ty tego.

MIGDAŁ w drzwiach; grozi.

Wrócisz sie ty do mnie, towarzyszek moja!

POPZREDNI i RELSKI.

MIGDAŁ.

...Towarysz Relski!!!

ZOSIA

Antoś, joj!

MIGDAŁ z radością.

A to ja nie myślał, że towarzysz Relski to jest ten sam Relski; hohehe.

RELSKI stoi nieruchomy. Zmarszczył brwi.

MIGDAŁ miele słowa.

Hohehe! A co się z towarzyszem działo? Tyle czasu od ostatni szopy, hohehe—? Gala — vorstellung w cyrku? Pamiętacie towarzyszu?

RELSKI.

...Więc czego... on tutaj... właściwie chce?!! Idzie ku Migdałowi.

ZOSIA drżąc gładzi rękaw Relskiego, jakby chciała burzę zażegnać, a boi się przemówić.

MIGDAŁ.

O-u! To sie towarzysysz... bardzo postarzał. A, kłaniam sie jaśnie wielmożnemu radcy! To ci towarzysysz! Trzasnął drzwiami, wyszedł.

RELSKI rzuca kapelusz na łóżko.

MATKA stoi obojętna, zimna. — Pauza. —

ZOSIA chce coś powiedzieć.

Wi..widzisz, Antoś... mama przyszła...

RELSKI.

Odwiedzić nas pani przyszła—.

MATKA ukłon przesadny.

Witam pana.

RELSKI.

Proszę; niech pani usiądzie. Nie spodziewałem się.

ZOSIA zdejmując zarzutkę z Relskiego, cicho.

Antosieńku, nie gniewaj się. Że obiad... i że mama... Relski jest we fraku.

WALENTOWA.

Ej, a tyż to pan wygląda! Jak na bal. Ale, ale!

RELSKI.

A... i pani tu!

MATKA.

Hm—. Ano przyszłam ja do córki, skoro jej do mnie nie było wolno. Ano pan, kiedy pan był jeszcze Antosiem... Dusi ły, Ale, Bogiem a prawdą, nie spodziewałam się takiej wdzięczności po panu.

ZOSIA.

Mamo—! co mama plecie!... Antosieńku nie gniewaj się że... że...

RELSKI.

Pozwól. Odsuwa Zosię.

MATKA.

A teraz, skoro mój umarł, to ja, jako matka, nie mogę na to dać zezwolenstwa, co się tutaj... dzieje...

RELSKI drży.

Prędszej, proszę panią; prędszej...

MATKA wstała.

Ano, panu, panu profesorowi się spieszy... i ubrał się, jak do ślubu...
A ja tam, jako matka, ta przyszłam, żeby Zosia i z dzieckiem do domu się wróciła—.

RELSKI drgnął.

A —. Co... co pani... mówi... — Pauza —.

Ja.. w niczem Zosi nie krępuję. Zosia ma własną wolę...

ZOSIA.

Antoś, Antosieńku mój złoty! Zarzuca mu ręce na szyję.

RELSKI.

Poplamisz frak!!!

ZOSIA.

Widzisz, mama, widzisz! Mój, Antoś, mój! Słyszała mama: on mnie nie krępuje! Słyszała mama: ja mam swoją wolę! Czy mama se choć wyobrazić potrafi!

WALENTOWA na boku.

Ale, hale—.

MATKA.

Ano, — to i po wszystkim. Niema tu miejsca dla mnie, jak i dla innych obcych ludzi.

ZOSIA przez lzy.

Mamo, nie mówże tak mama, także coś—. Całuje ręce matki.

MATKA.

A tobie Zosiu powiadam, że ja uczyniłam, jako mi sumienie a ksiądz na spowiedzi przykazał. A teraz, to ja się kłaniam, kłaniam panu profesorowi. Ruch ku wyjściu.

RELSKI milczy.

ZOSIA.

No, to, chodźże mama... chociaż przypatrz się mama malutkiemu...
A pocałuj go mama, no mamo, no—.

RELSKI do siebie.

Piekło —.

MATKA staje nad kołyską.

Chrobaczek —. Niech ci Bóg da wszystko dobre, wewnątrzku mój...
W i imię Ojca i Syna i Ducha św. Całuje dziecko.

ZOSIA cicho łkając, usuwa się na ziemię, obejmuje kolana matki.

Mamo, ma...mo...

WALENTOWA bardzo cicho.

Ale... alée...

RELSKIEMU

drżą powieki, ścina wargi. Zwraca głowę, idzie ku matce i Zosi, stanął, wyciąga rękę.

Pa..pani... jesteś... dobra—.

MATKA.

Ha, no! tak, tak. Wychodzi. — Pauza. —

WALENTOWA, ZOSIA i RELSKI.

ZOSIA ociera oczy fartuszkciem.

Antoś, nie gniewasz się, co?

RELSKI.

Nie.

WALENTOWA mruga na Zosię, aby nic nie mówiła.

RELSKI.

Spotkałem jednego z moich dawnych przyjaciół. Nie mogłem się wymówić, przyjdzie tutaj.

ZOSIA.

Twój przyjaciel przyjdzie? Jak to dobrze!

WALENTOWA.

Ale, ale, przecie pan zacznie z ludźmi żyć.

RELSKI nagle.

Dlaczego tu nie posprzątane—! Zosiu, ten brud... brud!!

ZOSIA.

No widzisz, czasu nie miałam...

WALENTOWA.

O la Boga, wielgie cuda! Nieposprzątane. A to pan jakby nie widział, że robota; i z dzieckiem i obiad... Zaściela łóżko jedno, ku drugiemu biegnie.

ZOSIA zatrzymuje się.
O jej, obiad. Makaron. Spiesznie kraje makaron.

RELSKI z trzaskiem otwiera okno.
Powietrza... więcej powietrza—!

ZOSIA.
Antoś! Co robisz? Dziecko się zaziębi.

RELSKI.
Dziecko się zaziębi! Hehe!! Zamknij. — Zosia spiesznie okno zamyka.

WALENTOWA.
Ej, bo tyż pan znowuj zaczyna cudować—!

RELSKI.
Moja pani Walentowa! Czego tu pani... Hamuje się... No, mąż się pytał o panią. Niech no pani idzie.

WALENTOWA.
O, raj! mój się pytał. Lecę, lecę! Wybiega.

RELSKI porywa Zosię za rękę.
Po co ty mi sprowadzasz te baby, słuchaj, ty—!!

ZOSIA.
To... ona... sama. Ja już nie będę. Trwoźnie cofa się.

RELSKI puszcza jej rękę.

ZOSIA
Widzisz, ona jest dobra kobieta. Pomoże czasem. I życzliwa. Zresztą ja ciągle sama—. Nikogo do pomocy...

RELSKI.
Tak, tak. Sługi niema, ty musisz wszystko robić, od tej baby pieniędzy pożyczać... Duszę się... tchu... tchu!! Zrywa krawatkę.

ZOSIA.
Co robisz! Nowa krawatka. No widzisz, widzisz. A ja mówiłam rano, ty nie chciałeś słuchać, że ten kołnierzyk za ciasny...

RELSKI.
He, he, he, he!!

ZOSIA.
Prosiłam: weź inny, weź inny...

RELSKI.
Głupiaś—.

ZOSIA cofa się:
A..antoś—! Co... co się dzieje—?

RELSKI.
Ale bo ty mnie do rozpaczki doprowadzasz tem głu... tem gadaniem.

ZOSIA.
Ty, ty, Antoś, jeszcze nigdy tak nie mówiłeś, jak dzisiaj. — A przecież ja cię kocham; ja cię tak bardzo kocham.

RELSKI.
Ach, dobrze, dobrze; powtarzasz mi to przy każdym obiedzie.

ZOSIA.
Czy to źle jest? Czy źle—? Kogóż ja mam prócz ciebie i tego małżeństwa? Zbliża się pokornie. Gniewasz się, co?

RELSKI zmusza się do tonu łagodnego.
Ach, nie, nie, nie.

ZOSIA bierze jego rękę.
No to ukochaj Zośkę Antosiu; tak jak dawniej przysuwa twarz. Antosiu—. Relski całuje jej czoło: ona szepce: Usta... w usta... tak bardzo... no—.

RELSKI łagodnie usuwa się. Zamyślony siada.

ZOSIA westchnęła; podejmuje krawatke.
Ja to zaraz naprawię.

RELSKI.
Cóż — »pani profesorowa« nie ciekawa, czy egzamin zdałem?

ZOSIA.
Aj, zapomniałam. Z uśmiechem: Zdałeś; ma się wiedzieć. Ty nie zdałbyś!

RELSKI.
»Ma się wiedzieć«... Padłem.

ZOSIA.

Upadłeś? Biegnie ku niemu. Gdzie, kiedy, ale nic się nie stało?

RELSKI.

Hehe, nic, nic. Troskliwość, hehe. Przy egzaminie padłem!

ZOSIA.

Jezus Marja, zemdlałeś!

RELSKI.

Nie!!! Nie zdałem egzaminu.

ZOSIA.

Nie... zdałeś... egza..minu. Stoi zdumiona, przybita wiadomością. Cóż teraz będzie?

RELSKI.

Cóż! Brud, brud, brud, jak był. Nic więcej, nic mniej—. Bez egzaminu na posadę pójdę, będziesz panią profesorową, weźmiemy ślub, będziesz panią, słyszysz!—. W brudnej mieścinie, dwa pokoiki, kupię stare meble, dużo garnków, rondli, będziesz szczęśliwą, prawda, Zosiu? No, mów, mów—!

ZOSIA.

E, e! Bo Antoś zaczyna coś mówić od rzeczy! Także coś. Tak jakby bez rondli nie było szczęścia. Niech Antoś nie myśli, że ja znowu jestem tak głupia.

RELSKI zdejmuje frak; wdziewa marynarkę starą.

ZOSIA sprząta, gorączkowo biega od jednego do drugiego, ciągle śledząc Antosia. Staje waha się, biegnie ku niemu, obejmuje go:

Ty nie dobry, ty, ty! Mów, gniewaj się, co chcesz... ale kochaj Zośkę, kochaj! Są przy sobie.

ZOSIA, RELSKI, JESZ, WITOLDYŃSKI, RADOWSKI, STACHOWSKI, LASSOTA
i JUROWICZ.

Zza drzwi dochodzi śpiew.

RELSKI.

Słyszysz?

ZOSIA

Aha. Ktoś śpiewa.

RELSKI.

Złośliwy błysk: Czy wiesz, kto mi śpiewał tę pieśń?

ZOSIA.

Któżby? Pewnie jakaś panna. Musiałeś ty biednych panien nazwo-
dzić, ty, brzydału. No, przyznaj się, no, no... Ty... ty... ty...

Wchodzi czereda czarnokawców.

Lassota głośno kończy solo z III aktu »Fra Diavola«, Jurowicz wtóruje mu gwizdaniem.
Z dawną fantazyą.

RELSKI i ZOSIA odsuwają się od siebie; zdziwienie.

JESZ w drzwiach.

Charakterystyczny zapaszek familijny.

WITOLDYNSKI.

Oto wtargnęliśmy do samotni myśliciela-poety.

RELSKI.

A, a, nie spodziewałem się; wybaczcie... jak się...

STACHOWSKI.

Sprowadziłem ci całą naszą paczkę.

RELSKI na boku.

Nie bardzo ci jestem wdzięczny.

ZOSIA zakłopotana.

Padam do nóg. Bardzo się cieszę; jest mi przyjemnie, przepraszam,
że nie posprzątane... hm...

RELSKI przedstawia.

To, to jest... y... moja kuzynka.

ZOSIA lekko pretensjonalny dyg.

MŁODZIEŃCY ukłon i wszyscy poczynają namiętnie poprawiać kołnierzyki.

RELSKI.

Siadajcie, proszę was.

ZOSIA.

Niech panowie siadają. Ja zaraz... tylko, tego... Porywa stolnicę, wybiega.

Chóralny śmiech. Otaczają Relskiego.

Odalisa co?

WITOLDYŃSKI.

Proszę cię!!!

RELSKI.

JESZ.

Wstrętne. Słuchaj, ona jest Satans-Weib, co, prawda?

STACHOWSKI zdziwiony i zakłopotany.

Ale... więc dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

RELSKI stoi nieradny.

LASSOTA.

Ale tu macie, kolego, wszystko stylowo urządzone.

RELSKI.

Proszę, siadajcie.

WITOLDYŃSKI.

Patrzajcie, wierni, co za mina zakłopotanego żonkosia!

JUROWICZ.

Co z wami się działo, kolego?

JESZ.

Mówiłem ci: kobieta cię zgubi — die Teufelin.

RELSKI.

Nie spodziewałem się wizyty waszej, więc nieprzygotowany...

STACHOWSKI.

Słuchaj, Antek, dlaczego do mnie nie napisałeś? Ani słówka. Co to znaczy?

GŁOS z za drzwi.

Andle.. andle.. handele! Żydek wtyka nos.

RELSKI.

Zaraz. Masz pan frak. Bierze frak, wybiega.

LASSOTA.

To wasz obecny dostawca garderoby?

Milczenie. Czarnokawcy oglądają się wzajem.

WITOLDYŃSKI do Stachowskiego.

Rozumiesz co z tego?

JESZ wciąga nozdrzami powietrze.

Ja to odczuwam.

STACHOWSKI.

Nic, a nic.

JUROWICZ spostrzegł kołyskę.

Przebóg!

LASSOTA.

Widzicie wy!? — Czarnokawcy parszczą homerycznym śmiechem. Okrążając kołyskę.

JUROWICZ.

Cicho—. Zbudzi się!

JESZ.

Na szatana, co to jest?!

WITOLDYŃSKI, przyjrawszy się bacznie, zawyrokował.

Homunculus. Chowajcie milczenie.

RADOWSKI.

Dumny jestem z Relskiego! Własnie, dziecię miłości.

JESZ.

Sssatans Kind, ono będzie Satans Kind! Ja, ja wam zaręczam.

STACHOWSKI.

Mówcież, co to znaczy? Skąd? jak? Przecież byliście tu?

WITOLDYŃSKI.

Mnie to nie dziwi. Nie widziałem go od kilku miesięcy. Zmienił mieszkanie, usunął się od wszystkich, zamknął się w sobie! All righth.

JUROWICZ.

Nie był w nastroju do utrzymania stosunków.

WITOLDYŃSKI.

Stroił tymczasem »harfę życia«.

LASSOTA.

Grał wielki koncert na jednej strunie, tej złotej, co?

WITOLDYŃSKI.

I oto jest echo pieśni. Wskazał kołyskę.

RADOWSKI kiwając głową.

Własnje, ja myślał, że to sytuacja polityczna tak go zniechęciła...

JESZ.

Kolego Radowski, jesteście wstrętny z waszą »sytuacją polityczną«. Ja jestem zmuszony wyrazić moje najgłębsze ubolewanie, że wobec tak wspaniałego przejawu dzieła szatana, wy mówicie o polityce. Ach, stupider Okonek!

RADOWSKI.

Ja, proszę kolegi, zastrzegam sobie...

WITOLDYŃSKI przerywa.

Do dysputy nie dopuszczam.

RADOWSKI.

..I co do pomienionego faktu muszę zaznaczyć, że Antoś jest uwielbienia godny. U niego, własnje teoria zamieniona w czyn.

JESZ.

Wstrętne. Po namyśle. Chociaż w przyszłości może być wspaniałem, jeżeli...

RADOWSKI.

Pozwólcie. Ja proponuję, tu, zaraz, abyśmy tutaj stante pede zawiązali komitet, któryby przeparł kandydaturę Antosia. Własnje, prosz' kolegów, podaję wniosek nagły i popieram: obecna sytuacja wymaga tylko tak »jasno« zdeklarowanego faceta. Sądzę, iż tego roku, wszelką prywatę usuwając na bok, kandydaturę przyjmie. Koledzy, wniosek bez dyskusji oddaję pod głosowanie imjenne!

JESZ rozpaczliwie.

Kolego Radowski, jesteście wstrętny!!!

LASSOTA.

Ostrzegam, że echo się zbudzi. Zahuczycy orgią tonów!

STACHOWSKI.

Proszę was; co wyprawiacie—! Robicie na mnie wrażenie stada waryatów.

WITOLDYŃSKI.

Zauważyć muszę, iż kolega Stachowski poczyna przejmować wrażenia. Jest widoczny rezultat lichej guwernerki.

JUROWICZ, który zdala stał, przyglądając się kołysce, szybko wyjmuje książkę szkiców, podbiega.

Przepraszam. Nagła kwestya. Kolego Witoldyński, moi drodzy, stójcie tak; peleryna do góry.

GŁOSY.

Co, co, co to będzie?

JUROWICZ.

On będzie Śmierć. Wy, kolego Radowski, tutaj. Klęknijcie, proszę was, no, prędzej!

RADOWSKI.

Ta wy bzika macie, kolego Jurowicz!

JUROWICZ.

Jesteście skończonym głąbiem! Chodź ty Lasota. Dla dobra sztuki. Do Radowskiego: jednej chwili nie potrafi poświęcić. Do siebie: głąb radykalny. Do Lassoty: oprzyj głowę o brzeg kolebki, klęknij.

LASSOTA.

Symboliczny kawał, co? klęka.

JUROWICZ.

Rozumie się. Zresztą nie jestem pewien. Przygląda się modelom. Tak. Dziecko umarło. Tutaj ojciec, tam śmierć. Profany na bok! Popycha nogę Lassoty. Ta noga tak!

ZOSIA wbiega (uczesana); parska.

Thakże coś!

JUROWICZ.

Matka! Genialna myśl! Ukłon: Pani, przypuszczam, jako żona kolegi Relskiego, odczuwasz doniosłość chwili. Mam genialny plan.. jeżeli tylko w wykonaniu.. ale spodziewam się...

STACHOWSKI śmiejąc się.

Niech pani nie słucha tego. X czarnych kaw ma w sobie ten młodzian.

LASSOTA uniósł głowy.

Cicho profany—.

ZOSIA.

Co to panowie robią? Niech... Antoś zaraz...

JUROWICZ.

Niech pani sobie wyobrazi, że dziecko umarło.

ZOSIA oburzona.

Także coś!! Panowie sobie kpią ze mnie!

WITOLDYŃSKI nieruchomy,

Suggeruję pani tę myśl. Ja chcę, byś wierzyła, niewiasto.

JUROWICZ.

To tylko szkic, moja droga pani, pięć minut. Mnie tylko kontury—. Niech pani klęknie, nie — niech pani się rzuci na ziemię, zemdleje, co to pani szkodzi.

STACHOWSKI.

Oszaleliście?!

WITOLDYŃSKI.

Rozkazuję ci niewiasto.

ZOSIA.

Ale... ale to tylko szopa, co?

JUROWICZ.

Rozumie się. Ściska jej rękę. Kolega Relski rozpromienieje z radości, że pani tak... odczuwasz. Przepraszam, prze..praszam za moją natarczywość... Silnym uściskiem dłoni zmusza Zosię do ukłęknięcia.

ZOSIA.

Hihibi, ta, także coś, hihibi.

JESZ.

Ja proponuję, aby pani zapaliła papierosa. W pozie stojącej. I demoniczny sarkazm na ustach. Ja sobie tak wyobrażam Satans Weib, als Mutter, w podobnej chwili.

JUROWICZ.

Dajcie pokój. Tutaj idzie o linie. Do Zosi. Ręka prawa wyciągnięta — tak.

ZOSIA.

Przepraszam panów, ale panowie, to są... hihhi.

LASSOTA.

Cicho, profany!

ZOSIA.

Dziecko się zbudzi—.

JUROWICZ.

Peleryna w górę! Pyszna grupa.

W głowach kołyski stoi WITOLDYŃSKI, z peleryną od spodu wydetą w formę czarnych skrzydeł. LASSOTA wsparł ponurą głowę o brzeg kołyski, ZOSIA z twarzą, przejętą donio-
słością »szopy«, i powiekami zwartemi, leży rozciągnięta tragicznie. JUROWICZ szkicuje.

RELSKI wchodzi.

..To, co znaczy!?

LASSOTA.

Mil..czeć pro..fany!!

RELSKI.

Zosia! W tej chwili mi wstań! A, moi panowie!

ZOSIA wstając.

Panowie mówili, że ty...

JUROWICZ również.

Czy mnie oczy zawodzą? Wy, Relski, rujnujecie grupę!

RELSKI.

Jeżeli panowie...

RADOWSKI.

»Panowie«!? Jak ty do nas przemawiasz, Relski?

RELSKI.

...przyszliście tutaj, ażeby drzwi, to... proszę! Naturalnie za drzwiami.

LASSOTA zerwał się.

Ee! Zapina płaszcz.

RELSKI siada, usiłuje pokryć zburzenie.

RADOWSKI zasmucony.

Ja własnie mówił, że kolega Jurowicz ma bzika.

JUROWICZ.

Ależ, na Apolina, kolego, co się z wami stało! W czym wy się tu obraży dopatrzyliście. Ja tylko szkic... kontury. Tyle razy pozowaliście, mnie, Lassocie., aa, Relski, czegoś podobnego—!

RELSKI jakby do siebie.

Pozowałem; zadługo wam pozowałem — a teraz tak trudno mi to przychodzi. — Przepraszam, przepraszam was, moi drodzy.

WITOLDYŃSKI.

Zaprawdę, ty poczynasz być zupełnie interesującym.

ZOSIA.

Panowie mówili, że to ino szopa, i że ty będziesz Antoś..

RELSKI.

Zosia, idź stąd!

ZOSIA zdumiona.

T..akże... coś.

RELSKI jakby przepraszał zmuszony.

No, nie, nie. Ja, ja chciałem cię tylko prosić. Tytoniu brakło; proszę cię, przynieś.

ZOSIA.

Ja.. teraz.. po tytoń..

STACHOWSKI na boku.

Antoś! Jakżeż można—.

RELSKI.

Idź, przynieś.

ZOSIA zmieszana.

Idę. Otwiera drzwi, odwraca się. Mały się budzi.

JESZ od chwili siedzi nad kołyską, bawi się, »rozmawia« z dzieckiem: »a ghu, gha« —.

Już nie śpi.

ZOSIA.

O, jej. podbiega do Jesza: Panie prawda, jakie oczka? Cały Antoś!

JESZ z rodzajem serdecznego wzruszenia.

Biedny kanareczek!

Wszyscy patrzą w stronę kołyski.

ZOSIA.

Już idę. Ale gdyby krzyczał—Antoś! zakołysz—.

Wszyscy przygryzają wargi; z zapalem przyglądają się sufitowi.

WITOLDYŃSKI.

Kolega Radowski będzie kołysał.

RADOWSKI, ukłon uprzejmy.

Własnie, z całą satysfakcją, prosz' pani.

ZOSIA.

Tylko delichkatnie proszę pana. Wyszła.

JESZ.

Ja ręczę; on jest okropnie delikatny.

RELSKI milczy.

STACHOWSKI.

Antoś, co to wszystko znaczy?...

RELSKI wstał.

Powiedzcie mi, moi drodzy, skąd wam przyszło — mnie odwiedzić, tak gremialnie...

WITOLDYŃSKI i RADOWSKI ruch zdziwienia.

STACHOWSKI zakłopotany.

No, hm, zaprosiłeś mnie przecie. Ja ich spotkałem; na tej przekłetej guwernerce nie miałem człowieka, z którym możnaby gadać, zaciągnęli wedle starego zwyczaju na »czarną w cienkiej«. Zresztą, nie przypuszczałem, że twoje stosunki... nic nie pisałeś. Oni nie wiedzieli nawet, gdzie mieszkasz, chcieli przecież znowu zobaczyć, uśmiechem pokrywa niepewność siebie: »męża przyszłości«, naszego...

RELSKI.

Hehe, der kommende Mann, hehehe—.

JUROWICZ na boku szkicuje.

RADOWSKI.

To jest ta kobieta, o której, pamiętacie, własnie, studentka?

WITOLDYŃSKI.

Niema o czem długo mówić; sytuacja jest dla mnie jasna. Zaplątałeś się w awanturę, teraz nie pozostaje ci nic innego, jak pozbyć się tego wszystkiego.

RELSKI wybucha.

Tak, tak, tak! Ją wyrzucić na bruk, niechaj ulicznicą zostanie — dziecko utopić...

STACHOWSKI.

Ależ po co zaraz tragedye wywodzić!

LASSOTA.

Kto jest ta, wasza, kolego, kuzynka?

RELSKI.

Wedle moich przekonań, jest moją żoną!!!

WITOLDYŃSKI ironicznie.

Aha.

RADOWSKI.

Rozumie się.

STACHOWSKI.

Braliście ślub, co? Ależ to byłoby więcej, aniżeli nierozsądne.

RELSKI.

A tak, nierozsądne, hehehe. Ale było, ale już stało się i teraz następstwa, miłe, cudowne następstwa.

A, a! czekałem, tej chwili czekałem. Pomijałem rozkosz kupną, by stworzyć sobie czystą »symfonię«, chłonać wszystkie tony, upajać się, szaleć!

Mam teraz, mam to wszystko. Ona i ja, hehe, »w białych szatach neofitów« zasiedliśmy do »uczty miłości« — »orgia szczęścia«!

...Przeżarty brudem duszę się w tej norze, a powietrza zaczerpnąć nie wolno, bo »dziecko się zaziębi«. Dziecko. Karykatura życia — karykatura miłości... Prawda, kolego Radowski, to ładne, prawda?

RADOWSKI.

Naturalnie kolego, niech żyje wolna miłość!!

JUROWICZ.

Widzicie, kolego, to jest szkic, coście mi go chcieli urwać. Podpis: »Skon«. Ha?!

JESZ.

Słuchaj; to jest wspaniały temat; pozwolisz, ja to zużytkuję. Chyba, że ty już piszesz jaki sataniczny poemat. Ale nawet w tym wypadku... mnie to w powieści zabierze tylko siedem kartek, cóż?

RELSKI cofa się.

Dziwne jest. Jakie wy dziwne dajecie wrażenie. — Przez cały rok nie zdołaliście się zmienić — na włos!

STACHOWSKI zły.

Ukończcie raz tę farsę! Dopuścić go do słowa!! —. Ty tu tak nie możesz żyć. Nagle; Siadałeś do rygorozum?

RELSKI.

Tak, dzisiaj; padłem.

STACHOWSKI.

Rozumie się. Nie mogło inaczej być w takich stosunkach. Ratuj się, człowiecze, póki czas! Nie oglądaj się na żadne względy, tu idzie, o twoje życie! Ani sobie, ani jej szczęścia nie dasz.

RELSKI. Siadając.

A tak, tak. Ale co robić, co ja mam robić?!

JESZ.

Piszesz co?

RELSKI.

A piszę, piszę, bardzo dużo piszę w dyrekcji skarbu. Siedm godzin dziennie. I potem do domu. Wspaniałe nastroje mam!

JESZ.

Dziwne! Taki wspaniały temat! Ja w podobnym wypadku stworzyłbym sataniczną epopeę. Moderne.

RELSKI. Wybucho. Do Jesza.

Nie męcz mnie. Na miłość boską, daj pokój — —. Chodzi po pokoju; nerwowo szarpie ubranie.

Ach, gdybym ja mógł ją wyrzucić! Gdyby ona nie ufała mi tak ślepo, gdybym ja wiedział przynajmniej, że ona to z wyrachowania robi; że udaje!.. Gdyby ona była kokotą, uliczną dziewczyną — jakże jej wdzięczny byłbym! A tak — litość zdejmuje! Jak pies przywiązana, patrzy mi w oczy, ręce całuje — gdy ja przed chwilą sztychłem, wyrazami kopałem. Wszystko robię, aby mnie znienawidziła — a ona nic, tylko miłość i uwielbienie, to bezmyślne, wstrętne, głupie uwielbienie!

Czarnokawcy okrążają Relskiego, słuchają z przejęciem.

WITOLDYŃSKI.

To męczarnie narodzin! W tobie poczyna się Uebermensch. I ja ci powiadam: tobie litością unosić się nie wolno, nie wolno ci — nie niszczyć... bo ty masz wychować w sobie...

STACHOWSKI.

Papierzane teorye!

JESZ. Do Stachowskiego.

Wstrętne! Wszelki czyn jest wstrętny, powinniście dotychczas o tem wiedzieć, kolego Stachowski. Do Relskiego. A ty nic nie działaj, nic nie rób—czekaj, co się stanie. A coś przecież stać się powinno, stać się musi — stanie się.

RELSKI. Jakby do siebie.

Zadługo już czekam, już dłużej nie mogę. Nie wytrwam!! A jednak... przed chwilą... do Witoldyńskiego. gdybyś był przed chwilą... Jedno moje słowo: wszystkie jej nadzieje zmiążdżyłbym — w jednym mgnieniu oka. Sił mi zabrakło. Ona szczęśliwa, taka szczęśliwa!

RADOWSKI.

No, ta słuchajcie, kólego! Ta wy się z nią ożenicie — ślub cywilny,

no, spódziewam się tego po was —. Damy wam w redakcyi politykę, zewnętrzną i będziecie do partyi..

RELSKI nie słucha tego. Do siebie.

Pomyśleć, że tamta... że ona... nic nie wie, o niczem nie wie, że ona... urywa, zmieszany badawczo, patrzy na kolegów.

JESZ.

A! wspaniałe, genialne, pschakreff kikeriki, wallahei, Bruder's ist einfach genial, jest i druga! Hehe, miłość podwójna. Ta studentka, co? Płowe loki... hehe, so angenehm idiotisch! konflikt psychodramatyczny. zaciera ręce. Słuchaj, Relski, ja tego użyję, pozwolisz?

RELSKI wstał.

Błazen jesteś! Ja nic nie powiedziałem. Do czarnokawców: Mózgi z bi-
buły — w żyłach czarna kawa!!

JUROWICZ.

Czarna kawa? Dobrze jest, chodźcie na czarną kawę.

WITOLDYŃSKI.

No tak, »czarna w cienkiej« jest zawsze znośna.

STACHOWSKI.

...Tak rzekł Witoldyński.

WITOLDYŃSKI.

...Idziemy do Schmidta. To jest ciekawe dosyć zjawisko psychiczne. Pospolite, ale w nowem oświeceniu. Ja ci to zresztą zaraz wszystko wytłumaczę. Chodźmy.

RELSKI.

Nie idę. Nie mogę teraz.

JESZ.

No, słuchaj, masz takie wspaniałe podniecenie, byłoby wstrętne, gdy-
byś tutaj został.

STACHOWSKI.

Już byliście dzisiaj. Ja głodny jestem. Obiad.

JESZ.

Wy jesteście wstrętny, kolego Stachowski! To na tej guwernerce zrobili was takim żarłokiem.

RADOWSKI.

...Magnackie ochłapy!

JESZ. Teza.

Żaden szanujący się człowiek nie jada obiadów.

RADOWSKI.

Własnje. Burżujski przesąd.

RELSKI, podając ręce szybko:

Do widzenia! Może przyjdę, ale teraz nie mogę.

JESZ do Radowskiego.

Protestuję przeciw używaniu tej wstrętnej terminologii!!

WITOLDYŃSKI.

Czekamy na ciebie, przyjdź. Widzisz, dużo ludzi, gazet, światła... Tylko ten Lorenz... paskudna kasta płatniczych. Rozerwiesz się, chodź.

RELSKI podaje mu rękę.

No, może. Przyjdę. Bądź zdrow.

Wbiega ZOSIA zdyszana.

Są papierosy: tytón i gotowe.

RELSKI.

Wcześniej wróciłaś! Przeszło pół godziny.

STACHOWSKI na boku:

Antoś! Ty ją traktujesz, jak służącą.

ZOSIA.

No widzisz, no, ja biegłam, no ale w tej trafice dużo ludzi... Pano-
wie odchodzą—!?! Dlaczego, proszę panów?

WITOLDYŃSKI i RADOWSKI.

My już musimy. Ukłon, wychodzą.

Na czarną kawę. JESZ z uprzejmym gestem.

Na... czarną kawę? Także coś. ZOSIA.

Bądź zdrów. RELSKI podaje rękę Jeszowi.

Satansbrut!... Ty wrócisz... do nas! Na czarną kawę!! Wyszedł. JESZ demonicznie.

RELSKI, STACHOWSKI i ZOSIA.

Nie śpi! A, panie, co to za złote dzidzi. Moje, moje! No, niech pan patrzy: nie śpi i nie beczy! Mój aniołek; on zawsze taki. ZOSIA kłękając przy kolebce.

Chłopczyk? STACHOWSKI.

Aha. Ale jeszcze, wie pan, jeszcze nie chrzczony. ZOSIA.

RELSKI siada z boku. Smutnie uśmiecha się.

Ileż ma już lat? Hm, chciałem się spytać... STACHOWSKI.

A już blisko półtora miesiąca; nie, zaraz... Wtorek, środa, czwartek, aha, we czwartek sześć tygodni będzie, i Antoś ze chrzciniami ściąga; to nawet jest niebezpiecznie. Wiesz, Antoś, kiedy teraz pan jest... Bo to, proszę pana, i Antoś mówił, że nie ma kogo prosić na chrzestnego. A pewnie, że trzeba kogo godnego. To, może, Antoś... może co... może pan — ? ZOSIA.

Ja?! STACHOWSKI.

A cóż? Gdybym cię prosił? Odmówiłbyś. Oczywiście... przyjaciel — ale w podobnych warunkach... RELSKI nagle.

STACHOWSKI idąc ku niemu.

Ależ, słuchaj, chłopcze, dobrze! Tylko, widzisz, mnie to dziwnie ja-
koś brzmi. Nie mam pojęcia. Ale, jeżeli tylko chcesz tego...

RELSKI ściska Stachowskiemu rękę.

Dziękuję ci za tę gotowość; serdeczne dzięki.

ZOSIA wstała.

O panie, jak to dobrze! Bo już sześć tygodni we czwartek — jak to
dobrze! A na matkę — to, to... a, to ładnie będzie! Tę pannę, wiesz,
ta, co ty do niej na lekcye chodzisz.

RELSKI.

Ssss!

ZOSIA.

A może ona nie zechce. Ale to ładnie byłoby — do Stachowskiego figlarnie:
jeszcze może pan i ona... hihhi! Antoś, a ona jest ładna?

RELSKI.

Ładna, Zosiu, ładna; to bardzo ładna panna. Inteligentna i mądra
i bardzo miła. I śpiewa, bardzo ładnie śpiewa!

ZOSIA smutna.

I śpiewa i mądra—. No to cóż, no cóż ja winna, że mnie do szkół
nie dawali.

RELSKI.

Pewnie, pewnie. To ja jestem winien.

STACHOWSKI na ustach jakby wyraz niesmaku.

Ja teraz, pożegnam —

ZOSIA.

Pan już idzie...

RELSKI.

Do widzenia. Przyjdziesz? Przyjdziesz tu jeszcze kiedy?

STACHOWSKI rękę podaje Zosi.

Żegnam panią. Odwiedzę. Wyszedł.

ZOSIA i RELSKI potem WALENTOWA.

RELSKI chodzi szybko, unikając wzroku Zosi; ona patrzy za nim; waha się.

Antoś —.

ZOSIA.

Co?

RELSKI.

ZOSIA.

A ta panna, co ty chodzisz... ta panna, ta, co ty na lekcję. — Co ty tam chodzisz...

RELSKI stanął.

?...

ZOSIA głosem drżącym.

To, to... jest ona ładna?

RELSKI.

Tak.

ZOSIA.

A, ile ona—. Ale, ja chciałam się spytać, niby, ile ona może mieć lat..

RELSKI.

Nie widziałem jej metryki. — Pauza. —

ZOSIA spogląda to na dziecko, to na Relskiego. Przeciera oczy; westchnienie.

Obiad już zaraz.

RELSKI stanął przy oknie. Uderza palcami w szybę. ZOSIA idzie ku szafie, staje. Patrzy w stronę Antosia; krok naprzód, cofa się. Oburącz ściska sobie skroń.

ZOSIA.

Jakoś mi dziwnie. Tak, jakby głowa bolała — Milczenie. — Wyjęła serwetę z szafy, idzie w stronę stołu, patrząc ku Relskiemu. Nagle serweta na ziemię — rzuca się na kolana; krzyk: Antoś!!

RELSKI łagodnie:

Wstań, Zosiu—.

ZOSIA ręce złożyła, jak do modlitwy:

Antoś, Antoś, Antoś. Powiedz, powiedz, powiedz, że ty mnie kochasz!.. Zaraz mów, Antoś, że ty mnie kochasz — —

RELSKI milczy, wpatrzony w Zosię. W oczach ma wzruszenie.

ZOSIA.

...Bo widzisz, bo ja — bo teraz — bo teraz, to byłoby bardzo źle. Gdybyś ty mnie — nie kochał. Bo teraz, Antoś... powiedz, mój złoty, mój jedyny, powiedz...

RELSKI.

...Kocham — wargi ścięte bólem.

ZOSIA obejmuje jego kolana: opiera o nie głowę. Przez łzy.

Tak, tak, to dobrze. O tak, dobrze, dobrze. Bo dzisiaj, bo teraz...

RELSKI.

Wstań Zosiu podnosi ją; ona cicho łka. No cicho, no nie —. Nie płacz Zosiu—. Gładzi jej włosy.

ZOSIA kładzie ręce na jego ramiona, wpija się w usta.

RELSKI usuwa się; siedzi zasępiiony.

ZOSIA.

Nie gniewać się, Antoś, no—. Ale dzisiaj, ty dziwny byłeś—. I ci panowie, jak oni przyszli, to ty mnie zaraz z domu niby po tytón. A potem ja przychodzę, to oni wyszli. Kazali mi leżeć na ziemi, a ty mówiłeś mi: »głupia«.

RELSKI.

Wymówki! Zerwał się. A moja ty! Rozdrażniony byłem, powiedziałem, przeprosilem, czegoż więcej chcesz? Czego ty właściwie odemnie chcesz?!

ZOSIA przeczy kilkakrotnym gestem.

To nie to, Antoś, nie to. Ja nie wymawiam, bo tobie wolno. Tobie wolno mówić. To nie, że ty mówiłeś »głupia« tylko, że ty myślałeś, że myślisz — »ona jest głupia«.

Ja nie jestem tak bardzo głupia. Ja tego wszystkiego nie umiem powiedzieć, ale ja to mam w głowie — i mam...wszystko, i to... ręce na piersi, na głowę. I ja cię bardzo kocham, a to jest wielkie słowo. To tego nie kupić, ani się nauczyć. — Ale teraz już nic — już. Ty jesteś dobry, ty nie chciałbyś dla mnie złego, ty Antoś, ty mój.

RELSKI.

Nie całuj mnie po rękach; ja tego nie mogę znieść!

ZOSIA.

Przepraszam. Nie gniewaj się; nie wiedziałam.

WALENTOWA wchodzi z wazą.

Ej, państwo, ciągiem przy sobie, niby dwa gołębie. A zupa już wychłódła. Ani na ulicę nie patrzą państwo, a ci tu banda idzie z wojskiem. Gra, aż nogi tańczą. Wazę stawia na stole, wychodzi.

Ulicą przechodzi oddział wojska z muzyką.

ZOSIA.

Ojej! Podbiega do okna. Ci to dopiero ludzi! Batalion, nie, fanę niesą — cały pułk! Antoś chodź-że. Patrz, jak to ładnie. Aj, jaki śliczny koń. Ten lejtnant się szablą kłania. — To pewnie tej pannie. Chodź-że Antoś, patrz, jak też ten stanik na niej leży. Ten pan, co z nią idzie, tak się do niej śmieje; pewnie narzeczeni. Ale tyż to ona ma włosy. Takie jasne loki!

RELSKI.

Gdzie, kto? stanął przy oknie.

ZOSIA.

A-no tam, na drugim trotuarze. O, o, patrzy się do naszego okna.

RELSKI spuścił storę.

Ten kretyn jest przy niej, znowu jest przy niej!

ZOSIA.

Dlaczego storę spuściłeś?

RELSKI.

To podnieś.

ZOSIA.

Kto jest ta panna? Ty znasz ich? To narzeczeni?

RELSKI.

Kłamiesz!! Powściąga się. Nie, nie. Ja znam ich... To jest... a, nikczemny kretyn!

Ten pan. A ona?

ZOSIA.

Wiesz kto?! Chcesz wiedzieć kto? To jest ta panna, którą ja uczę.

ZOSIA.

O — jej! No, widzisz, ja myślałam, że ona ma Bóg wie jakie suknie! To chyba materya droga, ale skrojone—!... Wiesz Antoś, co —. Bo ty może nie wiesz, jaki ja mam krój?

RELSKI.

Nie wiem, nie wiem, nie wiem.

ZOSIA.

To byłoby dobrze! Ty powiedz matce tej panny, niech ona da do mnie krajać, ja mam śliczny krój. To i dla mnie lepiej, bo haftem mało się zarobi, a dużo jest męki...

RELSKI.

Chachachacha! To przecie piekielnie wspaniałe! Chwyta rękę Zosi. Sssłuchaj, ty, chcesz koniecznie robić suknie tej pannie!?

ZOSIA.

Tylko krajać. Cofa się. I to nie koniecznie.

RELSKI.

To ja, ja, wiesz, z nią się ożenię, a tobie będziemy dawać suknie do kroju, cóż, Zosiu, cóż—?

ZOSIA.

Hihihih! Ależ to Antoś, hahahaha, ożenić się, thakże coś!

RELSKI.

Czego ty się śmiejesz, ty!?

ZOSIA wskazuje kołyskę.

Ciszej, bo śpi—.

RELSKI.

Co, co, co?! Ty—!! myślisz, dla tego, że dziecko, to ty mnie już zmusisz?!!

ZOSIA.

An..toś —! Co tobie jest? Ależ ja nic nie myślę. Tylko tak głośno wołałeś, a malutki śpi.

RELSKI.

A, a. Puszczą rękę Zosi. Ty nie myślisz, ty, Zosiu, nie myślisz?!

ZOSIA.

Ależ nie. W imię Ojca i Syna... co też ty...

RELSKI.

To źle, Zosiu, to bardzo źle, że ty nie myślisz. Zosiu, to jest strasznie źle, że ty mi tak ufasz. Do siebie. ...Ten kretyn, bezczelny kretyn! Zdejmuje marynarkę, zarzuca surdut.

ZOSIA.

Idziesz? Obiad! —

RELSKI

Nie będę. Nie jestem głodny. Wybiegł.

ZOSIA patrzy przed siebie. Stoi nieruchoma, milczy.

...Jak on to dziwnie powiedział—. »To bardzo źle« —. Co to za dzień! Co to za dzień!

WALENTOWA w drzwiach.

Dzisiaj jest wtorek, pani zapomniała?

ZOSIA.

Aha —, wtorek. Stoi, jak przykuta do miejsca. Co to za dzień! »To bardzo źle« ...aha, wtorek. Powtarza w kółko: ...wtorek ...wtorek ...wtorek...

Jesteśmy w saloniku pp. Borkowskich. P. Borkowski po sprzedaniu dużego folwarku, Mądrowa, osiadł w Krakowie, nabywszy kamienicę. Lorcę, starszą, wydał za mąż nieszczęśliwie, bo mąż umarł w dwa miesiące po ślubie: córkę zabrał więc do domu. Stefie, młodszej, zachciało się gimnazjum: pozwolił, bo Stefie nie można niczego odmówić. Największy kłopot to z tym wisusem Ignasiem, ale młodość wyszumieć się musi, p. Borkowski trzyma się zasady: »Niech pamięta wół, że cielęciem był« —, głównie dlatego zresztą, że Ignasia bardzo lubi, kto wie, czy nie bardziej od Stefy. Z żoną od 30 lat żyje w zgodzie: gospodarna bo jest; trochę zrzędziła na to życie w mieście, teraz mu ciągle dopieka, iż się wdał w politykę i inną pracę obywatelską, no, ale kobiecie wybacza się to, trudno się rozumieć również dobrze na sznyclach, jak na pracy publicznej.

Tak też państwu Borkowskim dość spokojnie schodzi dzień po dniu. W tej chwili np. po obiedzie, pani Borkowska, zajęta przygotowaniem «rozmaitości» na dzisiejszy wieczór, biega, a Ignasia tylko pilnuje, ażeby się uczył. Ignas piłuje łacinę:

IGNAŚ, P. LAURA, P. BORKOWSKA.

IGNAŚ.

...»incidit inscyl lamqui vultvi tarecha«... Nie. »in ciditin Scyllamqui vultvita re Chari... — nie! rozpaczliwie sieka: »inci dit, in Scyllam qui-vult vita... — psiakrr...

BORKOWSKA.

Ignas, ucz się!

IGNAŚ.

Ja się uczę, proszę mamy. To Lorcia mi przeszkadza; nie mogę skandować.

LAURA.

Mamo! Ignas mnie prześladowe. Westchnienie refrenowe: Złamana, zniszczona!

BORKOWSKA.

Ignas, niepoczciwy chłopcze!

IGNAS.

»Incidit inScyllam quivultvi tareCha...« — a żeby cię—!

BORKOWSKA w progu.

»In kidit«, Ignas in—kidit!

IGNAS.

Ale mamó, co też to mama mówi, joj!

BORKOWSKA.

No, no! nie bądź taki przemądrzały! Ja dobrze wiem, co mówię. Zdaje mi się, że to po łacinie. No więc. Dumnie wyszła.

IGNAS zbaraniał.

Jak Boga kocham, teraz już sam nic nie wiem. Pociąga papierosa. Szport mi gotów zgasnąć, pali, tak mi mama w głowie zawróciła, że... pali.

LAURA.

Ignas, daj mi raz pociągnąć, to nie powiem, że palisz.

IGNAS.

Lorka! Po namyśle: Ty jesteś moje nieszczęście — na! Podaje siostrze papierosa; ona wdzięcznie puszcza dymek cieńki, wdowieński.

Matka idzie!! więc

IGNAS głosem wielkim.

In kidit inScyllam.

LORCIA zagłębia się w lekturze.

BORKOWSKA.

Co to za dym? To z kuchni?

IGNAS.

...y... y... in kidit inScyllam...

BORKOWSKA.

Jezus, Ignas, ty palisz cygara!!

IGNAS.

To nie ja, proszę mamó, to Lorcja.

LAURA okrzyk rozpaczy.
Ignas!!

BORKOWSKA.
Pokaż.

IGNAŚ cofa się; po chwili wahania oddaje.

BORKOWSKA.

W imię Ojca i Syna, żegna się papierosem. Ignas, co z ciebie będzie, Ignas, co z ciebie będzie! Straszne czasy.

IGNAŚ.

Niech się mama nic nie boi. Tato i tak powiada, »łaskawco«, że ja będę ambasadorem.

BORKOWSKA tłumি uśmiech. Brwi zmarszczyła.

A na jutro ani słówka nie umiesz i wieczór będziesz chciał być przy gościach.

IGNAŚ ponury.

Niech mnie mama pyta. Już wszystko umiem.

BORKOWSKA.

Lorciu, wypytaj go; nie mam czasu. Tylko pół słówka nie daruj! Straszne czasy. Wychodzi.

LAURA.

Pokaż książkę. A tłumaczenie masz?

IGNAŚ przyskakuje, z furją.

To twój dym było widać!!

LAURA.

...Ci—cho!!

IGNAŚ.

Ja puszczam za piec.

BORKOWSKA staje w progu.

Inkidit in Scyllam qui...y...y...

BORKOWSKA namyśla się, wraca.

Czekaj, Lorka, jeszcze ty to odpokutujesz.

LAURA wyniosła.

Niech Ignas tłumaczy.

IGNAŚ ręce założył w tył, monotonnie Lorci wyklada:
»Scylla, złamana, zniszczona wdowa po Charybdasie radcy...y...y...«

LAURA.

Mamo, Ignas mnie maltretuje!! Krzyknęła, książkę na ziemię rzuciła, zmitygowała się, spokojnie wyszła.

IGNAŚ nogą książczynę kopnął; ta w drgawkach i męce kartek uciekła pod kanapę. Ignas

Mściciel wziął gazetę do rąk, poświstując, jął czytać. Nagle wydał okrzyk tryumfu:

Hura! Nie mówiłem!? »Trarara bumta, trarara bumta...

GŁOS BASOWY z drugiego pokoju.

trarara, bumta tija... Unisono z synalem: pam tiraa!« Jest to w pamiętnym owym roku znana polityczna melodya brukowa politycznej młodzieży brukowej politycznego Krakowa; wchodząc, zaśpiewał papa Borkowski.

IGNAŚ i BORKOWSKI potem pani BORKOWSKA i LAURA.

BORKOWSKI.

Dobra nasza, łaskawco!

IGNAŚ.

Hura, hura, hura! Teraz my pokażemy!! Tato już wie?

BORKOWSKI.

Cóż ty myślisz, łaskawco! Z tej racyi już na trzech śniadankach... Urywa. Gdzie matka?

IGNAŚ.

Mama jest pewnie w kuchni.

BORKOWSKI.

To jest, łaskawco, hm, Ignas, ucz się!

IGNAŚ.

Ja się uczę, proszę taty.

BORKOWSKI siada.

Czy ja mówiłem co o śniadaniu jakim? Spojrzał groźnie.

IGNAŚ.

Ja nie słyzałem, proszę taty, skromną minę uczyniwszy.

BORKOWSKI.

No!

IGNAŚ.

Ale niech tato sam powie, kto lepszy polityk, ja czy tato? ha?

BORKOWSKI.

Wielkie rzeczy! Udało ci się zgadnąć.

IGNAŚ.

Co zgadnąć, jak zgadnąć! Ja to obliczyłem, ja wiedziałem, że tak musi być. Taka była konstelacya polityczna. A teraz niech tato nie myśli, że na tem koniec — teraz my! my poprowadzimy rzecz... niech mi tato da pół szklanki. Naturalnie piwa.

BORKOWSKI.

Nalej. Ale tylko pół! No, no; ciężkie czasy.

IGNAŚ.

Pilzner?

BORKOWSKI.

Ha, trudno; pilzner. Ja bawarskiego więcej nie piję, panie, a choćby nie wiem co! Niemców wspomagać!? my im pokazemy, łaskawco.

IGNAŚ.

Tak jest, proszę taty. Poświęcać się aż do ostatecznych granic.

BORKOWSKI.

Ty myślisz, że to tak łatwo przyszło rozłączyć się z kulmbacherem!? Ale powiedziałem sobie tak, jak ś. p. Lenartowicz, Teofil Lenartowicz, wielki nasz powieściopisarz, zapamiętaj sobie, Ignaś: »Kraź każdy w kółeczku, jak każe Duch Boży — a całość sama się złoży«. I basta.

He, ja także kiedyś byłem bardzo, bardzo liberalnie nastrojony, łaskawco!

IGNAŚ.

Jak mnie tu tato widzi, tak my nie spoczniemy — my wszystkich

żydów do nogi! Wyprawa krzyżowa! A pójdziemy z hymnem na ustach: tra rara bumta...

BORKOWSKI

w czasie proroctwa Ignasia raptownie wypija dwie bomby, zrywa się, porwany animuszem syna.
...Trarara bumta tija... Zatyka sobie usta. Ignas, bój się Boga, łaskawco, dobrze, ale ciebie za to ze szkoły wy..tego! Ale, pst, czekajno... jak ja to mogłem zapomnieć! Jak ja to... Puka się w czoło. Czekaj, łaskawco, będzie z nami obrachunek!

IGNAŚ do siebie.

Oho, już wie. Usuwa się.

BORKOWSKI.

Ignas, chodź tu. Woła: Matka, Stefa, Lorka! Chodźcie tu wszyscy. Tu musi, do Ignasia: Zostań! — tu musi być rada familijna!

IGNAŚ musiał stanąć; chciał umknąć z porwaną na pocieszenie butelką; ojciec krzyczy »zostań«, to zostanie; niech się dzieje, co chce. Butelkę ukryć najlepiej pod bluzką, z tyłu, na plecach.

BORKOWSKA wbiega.

Rany boskie, co się stało!?

P. LAURA nadpływa.

Cóż ja? Na radę?

BORKOWSKI.

A Stefa gdzie? — wskazuje delikwenta: Powiedzcie mi, co ja właściwie mam zrobić z tym chłopcem?

BORKOWSKA.

Ja przeczułam, że to — znowu Ignas. Ignas, co z ciebie będzie! załamala dłonie. Ignas, co z ciebie będzie!

IGNAŚ.

Niech się mamusia nic... urwał; cofa się w tył.

BORKOWSKI.

Wiecie wy, co on zrobił? Ja z tego powodu musiałem pójść z jego gospodarzem. Na śniadanie. Ppalnął jakiegoś tam Silbermünza w papę, no i masz.

IGNAŚ.

To zemsta!

BORKOWSKI.

Jaka zemsta? A za to ze szkoły —! Ja także kiedyś byłem nastrojony! Radykalnie! ale to już jest strach! A jakby on ci oddał?

IGNAŚ.

Niechby tylko spróbował! Jak nas jest w klasie pięćdziesięciu, tak wszyscy temu żydowi kości połamaliby.

Zresztą ja tacie i mamie powiadam, kiedy już tak jest, wszystko powiem: — ja moich przekonań nie opuszczę za żadne pieniądze w świecie! Mnie wszystko jedno! Dla idei poświęca się wszystko! I teraz Prądlewicz jest na mnie zły, i ja muszę mamie i tacie powiedzieć, że on mi chce dać dwójkę. Ale ja nie ustąpię, ani na jeden krok! krzyczy. My pokażemy —! w zapale czyni pogróżki prawicą, w której butelka błyszczy.

BORKOWSKI do żony z dumą.

To jest mołdzież, co!

BORKOWSKA.

To jest butelka, Ignaś!

IGNAŚ rzucił butelkę Lorci na kolana.

To Lorcia, to nie ja.

BORKOWSKI.

Kto butelka? Jaka butelka?

LAURA z płaczem.

Niech mnie tato broni, Jezus. Ten Ignaś naigrawa się ze mnie. Ja jestem chora, a ten niepoczciwiec... wychodzi, susząc łzy.

IGNAŚ.

Złamana Scyllo, pójdź, niech cię pocieszy twój brat Charybdas—!
wychodzi za siostrą.

BORKOWSKA.

Ignaś, Ignaś!

BORKOWSKI odwrócił się, zasłania oburącz usta, pełne śmiechu. Do żony.

To jest głowa, co?! Ja go stanowczo oddam do akademii oryental-

nej. Jak Boga kocham, łaskawco, ja, nawet ja, nie wykalkuluję polityki tak, jak on. Silny łeb!

BORKOWSKA.

Tymczasem wyrzucają go z gimnazjum. Straszne czasy, co z tego chłopca będzie.

BORKOWSKI.

Eh, no że tam grzmotnął jakiegoś żyda! Już mówiłem z Prądlewiczem; to się tam jakoś zatrze. Pijąc. Sytuacja polityczna, łaskawco; duch czasu, panie.

BORKOWSKA wzdycha.

Ach, mocny Boże. — Pauza. —

BORKOWSKI i BORKOWSKA.

BORKOWSKI.

Ty—. Lorkę trzeba koniecznie już raz za męża wydać. Gdzie Stefa?

BORKOWSKA.

Oj, zdałoby się, zdało.

BORKOWSKI.

Ona mi apetyt formalnie odbiera swoim, łaskawco, »złamana, zniszczona«. Kraje połędwicę. Czy Stefki jeszcze w domu niema? Spogląda na zegarek.

BORKOWSKA.

Ach, znowu na jakichś lekcjach. Dziewczyna zamęcza się. Do siebie: Choć to teraz taka moda.

BORKOWSKI.

Kiedy ona to tak się temi książkami wiecznie otacza, dzień i noc, — trzeba się nad tem zastanowić. Wiesz, wczoraj, o drugiej w nocy! (Wracałem z komitetu), zastałem ją przy książkach.

BORKOWSKA.

To ten komitet aż do drugiej się ciągnął?

BORKOWSKI.

He, komitet, gdy się zbierze, to czasem do białego rana, łaskawco!

Wracam, mówię ci, z komitetu, w domu cicho, ona siedzi. Aż mi żal było dziewczyny.

Stefa, idźże już spać — powiadam, druga godzina.

Ona wstaje, mówi, że już teraz nie robi, że odpoczywa.

Odpoczywa; odpoczywa, ale nad książką. A ona śmieje się, załamuje ręce nad głową: — no, niech ojczulek słucha, czy to nie jest, mówi, jak wiosna i jak zapach łąk. Wiesz co? Wiersze!! O drugiej w nocy, ja wracam z komitetu, a ona mi czyta wiersze! Rozziewałem się na dobre, mówię jej, niech idzie spać, ona ci urywa, patrzy długo na mnie, uśmiecha się, ale tak jakoś, jakby się jej na płacz zbierało, czy co, i potem mówi: »Dobranoc, ojczulku«. Dobranoc, dobranoc — a ona ni stąd ni z owąd nagle leci na mnie, całuje mnie po rękach, tuli się i mówi, że ona jest mi wdzięczna, że ja jej pozwoliłem się uczyć. Ja jej mówię, jak wiesz, no, no, łaskawco, ty straszna emancypantka; ale to moda — jak to ty mówisz; na to ona się odsuwa, trzyma mnie za ręce:.. może nie dla wszystkich, tato., tak się na mnie patrzy jakoś dziwnie, jakby jeszcze coś chciała mówić, że mi się ciepło w oczach zrobiło, i pocałowałem ją w czoło, pytam się... ty chcesz czego odemnie, Stefa?... Ona mówi: nic ojczulku. Dobranoc.

Potem poszła do okna.

Wychodzę, odwracam się, a ona, mówię ci, o tak: Rozkłada ramiona wszerek, tak się oparła o ramy, czoło przyłożyła do szyby i tak stoi.

Myślę sobie: hm... i poszedłem spać.

BORKOWSKA.

Co się to znaczy! Mówiła ci »ojczulku« i całowała po rękach —.

BORKOWSKI.

Ale słuchaj. Ktoś mówi; budzę się, — byłem pewny, że to znowu

ty przez sen mówisz: Ignas uczy się, łaskawco — ale nie. Patrzą: Światło! Zrywam się, leczę — no i popatrz, co za nieszczęście może być z tej nauki: — — Świeca się pali, poduszka na ziemi, a Stefa śpi. Kołdra, co tylko nie spadnie, a ona ma głowę na krawędzi łóżka i powiadam ci, panie, do piersi przyciska jakąś książkę i mruczy i śmieje się, jak Boga kocham! — Podjąłem poduszkę i myślę, co ona tak tuli, łaskawco: he, ani myśli, wyciągnąć. Dopiero kładę moją rękę na jej palce, a ona chwyta i tak mi ściska, że aż strach! A książka spadła na podłogę. Podnoszę — »Sonety« — Antoni R., nakładem autora! Aha, łaskawco, tutaj raki zimują!?

BORKOWSKA.

I ja o tem wszystkim nic a nic nie wiedziałam!

BORKOWSKI.

Bo nie należysz, łaskawco, do komitetu.

BORKOWSKA.

Ale co teraz będzie z tym Kalenickim? To jest chłopiec bardzo do rzeczy. I skromny i...

BORKOWSKI.

Cóż, kiedy ona kpi z niego!

BORKOWSKA.

A ta książka Relskiego — to, powiadasz, jego własnym nakładem? Proszę, proszę.

BORKOWSKI.

Skonfiskowałem; patrz. Podaje.

BORKOWSKA.

Ja zaraz mówiłam, że to nie jest taki zwyczajny instruktor. No, no.

BORKOWSKI przeglądając broszurę:

Phi. Co takie sonety wartają. 30, jak dużo, 40 centów. Ale zawsze »nakładem autora«. Poeta, literat. Ano zobaczymy my, co z tego wyniknie! A znowu czasem przyjdzie na lekcję obdarty, nieucze-

sany; raz nawet pierze widziałem w głowie, najświętsze słowo honoru ci daję.

BORKOWSKA.

Ty nie wiesz! To jest moda. Każdy literat musi być choć trochę obdarty.

BORKOWSKI.

Tylko, czy on, panie, czy on, łaskawco, nie jest tego, socyalista?

BORKOWSKA.

Jezus Marya, nawet nie mów! To trzeba bardzo delikatnie, pocichu wybadać, o wszystkim dowiedzieć się, czy on ma egzamina, czem jego rodzice, jak się prowadzi, to... bo tam nic nie wiadomo, co się może stać.

POPZEDNI, STEFANIA i KALENICKI.

GŁOS STEFANII.

Ach, proszę, proszę. Gość —.

BORKOWSKI.

Daj książkę. Chowa.

GŁOS KALENICKIEGO.

Pani, damy mają pierwszeństwo.

BORKOWSKA.

Stefa z Kalenickim? A to co?

STEFANIA wchodzi. Ironicznie:

Równouprawienie, panie Kalenicki.

KALENICKI.

W takim razie trzeba by ścianę zburzyć, hahaha.

STEFANIA.

Niesłychane!

KALENICKI.

Ca..je rączki pańdzice—' n do nóg pańdziejowi.

BORKOWSKI.

Czołem, obywatelu łaskawco.

BORKOWSKA słodko.

Jak się pan ma, jak się pan ma?

STEFANIA zdejmując okrycie.

Pan Kalenicki jest niesłuchanie szczęśliwy z powodu najświeższej wiadomości politycznej. Wymową swoją tak mnie porwał, że gdyby tylko był chciał, pozwoliłabym się uprowadzić.

BORKOWSKA.

Stefciu, co ty mówisz, fe.

STEFANIA.

Dla idei, jak konsul Ignasz powiada, dla idei. Pan raczy zawiesić (okrywkę) w przedpokoju.

KALENICKI.

Z rozkoszą, panno Stefanio.

STEFANIA.

I z kapeluszem. Dziękuję panu. Podaje, Kalenicki wychodzi.

Jezus Marya, uwolnijcie mnie od tego błazna! Przyczepił się do mnie na ulicy i ani rusz pozbyć się go.

BORKOWSKA.

Ależ dziecko, co mówisz, co mów...

STEFANIA.

Przez całą drogę prawi mi swoim lukrecyowym głosem o politycznych konstelacjach, a patrzy tak czule, jak gdyby na rogu miał się oświadczyć.

BORKOWSKI z zadowoleniem.

Straszna emancypantka.

BORKOWSKA.

Stefa, jakżeż można. Taki chłopiec do rzeczy.

STEFANIA.

...noszenia na stację. Ale niech mnie da pokój.

BORKOWSKI.

Powinnabyś grzeczniejszą być, to swoją drogą.

STEFANIA.

Tato... Proszę wierzyć, że ja teraz nie mogę myśleć o grzecznościach ze względu na panów Kalenickich. Żyję w ciągłym podnieceniu, każda chwila mi droga; chciałabym choć czasem zapomnieć o robocie, być samą, odpocząć przynajmniej na ulicy, po drodze, a tu taki, taki pan Kalenicki... Właśnie wszedt... Oświadcza kategorycznie, że to »zrobi furory«. W całej politycznej Europie... tylko niech pan nie opowiada, rodzice już czytali depesze. Są równie wniebowzięci, jak pan.

KALENICKI.

Ja to przeczuwałem, ja to oddawna mówiłem. to nie mogło inaczej być. Konstelacya polityczna...

BORKOWSKI.

Tak, jak Ignas, zupełnie, łaskawco. Same umysły polityczne!
Co to za młodzież teraz się rodzi, strach!

STEFANIA.

Poświęca się aż do ostatecznych granic.

PANI LAURA wychyla główkę przez drzwi; niepostrzeżona, cofa się.

BORKOWSKI.

Zapijmy sprawę.

KALENICKI.

Szukajmy prawdy, hahaha.

STEFANIA cicho.

...w butelce. Szybko idzie w stronę pokoju po lewej. Staneła. Mamo, a któż to wszystko pochłonie?

BORKOWSKA.

Będzie kilkanaście osob. Do Kalenickiego. Pan nie zapomni o nas dzisiaj.

STEFANIA nieznacznie szarpie matkę za fartuszek.

KALENICKI.

Ca..je rączki, z rozkoszą, pańdziko.

BORKOWSKA.

...Nas jest kilkoro...

BORKOWSKI.

Nie zapominaj, że i ja będę.

BORKOWSKA ogromnie złośliwie.

Słyszysz, ojciec ma dzisiaj »komitet« w domu.

STEFANIA patrząc na stół.

Trzeba mieć niesłychaną odwagę.

KALENICKI.

Pani odchodzi, panno Stefano? Może ja przeszkadzam?

GŁOS STEFANII.

Maluczko, a ujrzy mnie pan znowu.

POPZREDNI, PANI LAURA i IGNAŚ.

P. LAURA

Włos ma rozwiązany. Idzie krokiem melancholijnym, w ręce dziennik trzymając.

Ach!! Tak się przestraszyłam.

BORKOWSKI.

Lorcja, napij się piwa.

KALENICKI.

Ca..je rączki.

BORKOWSKA

Lorcja, gdy się zamyśli, to nic nie wie.

BORKOWSKI.

Zaraz się dowiesz. Podaje szklanę.

LAURA do ojca po cichu.

Ojciec mnie kompromituje! Płynąc w stronę Kalenickiego. Witam pana.

KALENICKI.

Ca..je rączki. Całuje.

LAURA.

Panie! Wstydliwie usuwa dłoń, przedtem uściskawszy. Proszę, niech pan usiądzie. Na otomanie.

KALENICKI.

O pani! ca..je rączki. Siadł.

PAN BORKOWSKI, wzdychając, sekcyonuje szynkę; sapiąc, analizuje tort i t. d. naprzemian.

Przez chwilę jest milczenie ponure.

KALENICKI.

Hm. Pani czytała ostatnie depesze?

LAURA rozpaczliwie chwyta się deski ratunku.

Tak, właśnie, panie, jestem zachwycona, to jest niebywałe zwycięstwo!

Ach, kiedyż nareszcie kobiety »otrzymają prawo wyboru i wybieralności«. Panie, jakbym ja chciała brać udział w polityce!

KALENICKI zamyślony w przyszłość patrzy.

Niedaleka przyszłość. Jeżeli nie my, to nasze dzieci..

LAURA.

Panie! co pan mówi! Zgorszenie wdowieńskie.

KALENICKI.

Przepraszam; ca..je rączki.. Ja, ja myślałem, przez to chciałem przysłać pokolenia...

LAURA.

Panie! Chwyła rękę Kalenickiego. To w pojedynku? Wskazuje skroń jego, ta blizna.

KALENICKI zmarszczył brwi. Z wyniosłą obojętnością:

Ach to z ostatniego fackelzugu.

LAURA.

Pochodnią! To musiało być straszne.

KALENICKI.

Takie rany nie boją.

LAURA.

O tak, teraz dopiero pana poznałam. Ściska jego dłonie, w źrenice patrzy młodzieńca: »O, jak stodko jest dostać pochodnię w czoło!«

IGNAŚ wchodzi, ruchy i głos Laury naśladowujący:

Złamana, zniszczona — ach!

LAURA.

Ach! — Jak cień idzie za mną. Wstała.

IGNAŚ.

Aj, pan Kalenicki.

KALENICKI.

Tschau, tschau. Witają się.

LAURA d. s.

Ten Ignas istna plaga! wychodzi, tęskne spojrzenie śląc Kalenickiemu.

KALENICKI.

Panie Ignacy, mam ważny interes. Pan ma wpływy na młodzież szkół średnich...

IGNAŚ.

O, proszę pana, proszę pana. Rozmawiają na boku.

BORKOWSKA wchodzi ze STEFANIĄ.

...Nie mam pojęcia, gdzie mogłam położyć.

BORKOWSKA pokrywając uśmiech.

Nie wiem, Stefciu, ja nic nie wiem.

STEFKA rozgląda się.

Miałam tam ważne notatki.

BORKOWSKI.

O cóż to idzie, łaskawco?

STEFKA.

Drobnostka. Gdzieś znikła mi jedna książka. Ot, broszurka — »Sonety«.

BORKOWSKI.

Matka, nie widziałaś, panie?

BORKOWSKA.

Nie. Może Ignas.

IGNAŚ.

Już znowu mama chce na mnie coś złożyć. To Lorcia, proszę mamy, ja zaręczam, że Lorcia.

STEFANIA.

Ignas, może wymyśliłbyś co dowcipniejszego.

KALENICKI.

Może ja mógłbym służyć pomocą?

STEFANA, ignorując pytanie to, staje przy ojcu.

BORKOWSKA.

O, dziękuję. — Pan nas odwiedzi wieczorem? Tak koło ósmej?

STEFANA cicho do ojca.

Puście tego biednego chłopca. On i tak nic więcej nie powie, oprócz: »ca..łuje rączki«.

KALENICKI.

Ca..je rączki, naturalnie, ca..je rączki, pańdzice. Faktycznie całuje — żegna się. Ja tylko chciałem odprowadzić pannę Stefanię — 'n do nóg pańdziejowi — i miałem...

STEFANIA.

Już pan odchodzi! Zakłada ręce w tył, aby nie podawać na pożegnanie.

KALENICKI.

Tylko mamy interes do pana Ignacego.

BORKOWSKA.

Do widzenia, do miłego widzenia. —

KALENICKI wpatrzony w Stefę; smutek.

Do widzenia, panno Stefanio. Wychodzi z Ignasiem.

BORKOWSKA odprowadza ich.

BORKOWSKI.

Aj, aj, łaskawcy, czekajcie no. Toczy się za młodzieżą zupełnie szybko.

STEFANIA, JOASIA potem BORKOWSKI.

STEFANIA sama.

Stoi chwilę bez ruchów; przeciera oczy. Przytłumione westchnienie zmęczenia — usuwa się na otomanę, leży z oczami zamkniętymi. Załamuje dlonie, szepcze:

O, takie życie; to życie —! — Pauza — ...Czy to Joasia?

JOASIA weszła.

Tak jest, proszę panienki.

STEFANIA.

Może tam jest woda sodowa?

JOASIA.

Jest. Czy podać panience?

STEFANIA.

Proszę. Pół szklanki.

JOASIA nalewa, podaje.

STEFANIA.

Dziękuję. Pije, wsparta na łokciu, oddaje szklankę.

JOASIA.

Ej, bo też to panienka się męczy. Na co to ta panience tak po nocach...

STEFANIA.

Dlaczego Joasia tłucze się z temi flaszkami!

JOASIA.

Aj, przepraszam panienko. Wychodzi.

STEFANIA.

Proszę już zabrać się z tem. Zamyśla się; do siebie: Gdzie to może być? Twarz pokrywają cienie. Ten człowiek szydzi ze mnie...? To niemożliwe! — On... on bawi się mną...?! To byłoby podłe!! A ja—? Nie mogę.. idę, idę ku niemu... i on to widzi... musi widzieć...

Czy ja wiem; co ja wiem!! Moja głowa... głowa... Ręce opadły bezwładnie.

A jeżeli... ah! ...To pójdę przez życie — sama!! ...Sama...! Załamuje ręce; dreszcz. — Po chwili. Ha —! Szybko wstaje, siada za stołem, zabiera się do pracy. Ruchy gorączkowe. Nie zwraca uwagi na wchodzącego ojca; pisze.

BORKOWSKI przechodzi raz i drugi obok córki, patrząc na nią z pod oka.
Hm, hrm! Stanął, znowu chodzi. Stefa —.

STEFANIA.

Proszę?

BORKOWSKI.

Ty, Stefa, jesteś inna o drugiej w nocy, a inna...

STEFANIA.

»Życie nie jest tak... Uśmiech. idyotycznie matematyczne« powiedział sobie pewien poczciwy pogromca niewiast. A ludzie, proszę taty, są, jak życie. Pisce.

BORKOWSKI zastanawia się.

Filozofka, panie. Straszna emancypantka. — Stefa —.

STEFANIA.

?...

BORKOWSKI.

Cóż, łaskawco, hm, znalazłaś! panie?

STEFANIA wstała. Patrzy w twarz ojca, uśmiechnięta serdecznie, idzie ku niemu.

Tato ma... Wyciągniętą dłonią bardzo prosi: Proszę...

BORKOWSKI oddaje »Sonety«. Ona chwyta je, przegląda, uśmiechnięta patrzy na książkę,
to na ojca.

Tam nie było żadnych notatek, łaskawco. —

STEFANIA spuszcza wzrok ku ziemi. Po chwili, bardzo cicho;

A jednak są. Podnosi głowę. Gdzie ojczulek znalazł?

BORKOWSKI.

Tu. Jedną ręką obejmuje córkę, drugą kładzie na jej pierś.

STEFANIA

podnosi głowę ku twarzy ojca; oczy, rozwarłe pytaniem — zdziwieniem: zrozumiała.

O —!... Zawstydzona, twarz kryje w ramionach ojca.

BORKOWSKI.

No, no. Gładzi łoki swej córki. Z uśmiechem: Emancypantka, to jest emancypantka.

STEFANIA uwalniając się z objęć ojca.

Ach, tato! Co to za połączenie, to (»Sonety«) i emancypacya!? Wstrząsa czupryną, mówi podniecona: Co to ma jedno z drugim? Czy dla tego, że siadam do egzaminu, przestaję już być człowiekiem? Mam być wiecznie nudnym, chodzącym artykułem tygodnikowym?

Tato ma dziwne pojęcia o tej emancypacyi. Niesłychani ludzie! Wzruszyła ramionami, wyszła.

BORKOWSKI sam. Strasznie »kręci« głową.

Emancypantka, panie, nad emancypantki! Wychodzi za córką.

LAURA i JOASIA, potem RELSKI.

LAURA wchodzi bardzo energicznym krokiem. Wyjmuje zegarek.

Dziesięć minut... Staje przed lustrem. Dobrze... nie... Układa włosy, fenomenalnie rozwiązane: jedną kosę na ramię prawe, potem na lewe; znowu wszystkie włosy przez prawe ramię na pierś. I tak nie dobrze. Zdecydowała się: część włosów na plecach, drugą rozrzuca lekko po lewem ramieniu, troszkę na łono, nieco na plecy. Teraz jest z siebie zupełnie zadowolona. Kładzie się na otomanie, tyłem do wejść; przedtem wzięła ze stołu książkę, aby czytać; nie — raczej może dziennik? nie, nie, pocóż ma czytać, jest zmęczona; marzy... albo coś podobnego. W każdym razie poza jest zachwycającą. Ach, ta poduszka! Joasiu! Joasia!

JOASIA.

Słucham, proszę pani. Wbiega.

LAURA.

Popraw mi poduszkę.

JOASIA.

Którą poduszkę?

LAURA.

No tę tutaj. Nie szarp mi włosów!! Co za niezdarna dziewczyna. — Czego ty się śmiesz?!

JOASIA.

Ja się wcale nie śmieję, hihih! Gwałtownie wybiega.

LAURA.

Gęś!! Oczywiście Joasia. — Drzwi w przedpokoju ktoś otworzył! — Ach!! Nadsluchuje.

Ech! To jeszcze nie on. Szlafroczek nieco podsuwa lekko powyżej kostki nożnej; rozpina na piersiach haftkę, jedną, drugą... tylko dwie. E—e! — Otwierają się drzwi, wchodzi; no kto? — Antoś.

RELSKI

z głową podniesioną w górę, z ironicznym uśmiechem. Kapelusz nerwowo mnie w ręce; wargi ścina co chwilę; widocznie poza przybrana. Staje; niemy ukłon w stronę Laury. Nagle oświecił mu twarz szczery, cichy śmiech. Podchodzi kilka kroków, staje; wzruszył ramionami, idzie ku otwartym drzwiom pokoju po lewej, wychyla się, wraca, czeka. Dłonią lekki ruch lekceważenia; obojętność:

Dobry wieczór!

LAURA.

Ach!! tak się przestraszyłam. Nie zmieniając pozy, zwraca głowę ku Relskiemu, podaje rękę, w tył ją wyciągając poza otomanę. Dobry wieczór panie —.

RELSKI cicho.

Pśś! Podchodzi, podaje rękę.

LAURA.

Ach, jaka zimna dłoń. Trzyma ją ciągle. Proszę, niech pan usiądzie.

RELSKI usuwa rękę.

Dziękuję. Panna Stefania...

LAURA.

Proszę.

RELSKI siada.

LAURA.

Tu bliżej; na taburheciku.

RELSKI.

Dziękuję. Nie rusza się z fotela.

LAURA.

Ale prhoszę, swobodnie.

RELSKI wstaje, bierze taburet.

LAURA.

Tak lubię czasem — marzyć. Proszę bliżej... Relski zrezygnowany, siada odrazu za blisko. Bo proszę pana, ja tu jestem, jak pustelnica, wśród tych ludzi. Nie uwierz mi pan: tak jestem złamana, zniszczona forhmalnie.

RELSKI

wierzy w to; potakuje głową ze współczuciem. Jednocześnie poczyną stopą pukać lekko, silniej, coraz silniej, szybciej.

LAURA.

Do pana jednego mam zaufanie. Bierze rękę Relskiego. Jeszcze zimna dłoń?
A, a, a... głos drży lekko.

RELSKI milczy. — Pauza. —

LAURA.

Hm. Ten Ignas to moje nieszczęście. Już teraz cieplejsza ręka?

RELSKI.

Tak, pani. Oswobadza rękę. — Milczenie.

LAURA.

Dlaczego pan taki milczący? Czy wszyscy dekadenci są tacy?

RELSKI.

Nie pani.

LAURA.

Ach, panie, jakbym ja chciała być dekadentką.

RELSKI.

Pani już jesteś..

LAURA.

Pan mi pochlebia.

RELSKI.

Nie, pani.

LAURA.

Nie — naprawdę? Ale pan jest dekadent?

RELSKI.

Nie tak bardzo, jak pani..

LAURA.

Pan jest niedobry. Dostanie klepsa. Uderza. Pan śmieje się ze mnie.

RELSKI.

Nie, pani.

LAURA.

Doprhawdy?

RELSKI.

Nie, pani.

LAURA.

No to na dowód, niech pan powie... czy to... jest prawda, że dekadenci, to oni chodzą w nocy na cmentarz i grhają w karty?

Tak, pani. RELSKI.

To musi być straszne. LAURA.

Tak, pani. RELSKI.

I podobno czują »filozoficzny« wstręt do policyantów. LAURA.

Tak, pani. RELSKI.

I jeszcze: czy to prawda jest, że każdy, co należy do dekadentów, musi mieć w nocy trupa czaszkę pod poduszką? LAURA.

Tak, pani. RELSKI.

Okrhopne. — Milczenie. — Pan jest taki dziwny. Czy to tak musi być u panów? LAURA.

Tak, pani. RELSKI.

Dla czego pan.. Relski westchnął.. ciągle mówi tylko: »tak, pani« i »nie, pani«? Obserwuje Relskiego; uśmiech niepewny, sztuczny. To jest biblijny styl... LAURA.

Tak, pani. RELSKI.

Dziwne. Uspokojona. A jednak przecież pan odkrył mi tajemnice dekadencie. Ja jestem wdzięczna. Ja panu także coś pokażę... bierze rękę jego. widzi pan, na pierścionku — trupia główka i dwa piszczele na krzyż. LAURA.

O!! RELSKI.

A, a, a, jaka teraz ręką jest ciepła, a, a —. Ja czuję, że stanę się dekadentką. — LAURA.

A—.

RELSKI.

...Przy panu...

LAURA.

E—.

RELSKI.

Bo ja jestem bardzo, panie Antosiu...

LAURA.

U—.

RELSKI.

Barhdzo nieszczęśliwa...

LAURA.

I—.

RELSKI.

Ten Ignaś... Tak, tak, czuję niepowstrzymaną niczem żądę posiadania jednej, jedynej duszy bratniej...

LAURA.

Iks!!!

LAURA zerwała się.

Czy pan ma zamiar przejść cały alfabet?!

RELSKI.

To będzie zależało od pani. Powoli wstaje.

LAURA.

Niewdzięcznik, bezwstydnik, arogant, niemoralny, bez zasad, charakteru, nikczemny, socyalista, niewdzięczny, dekadent!!!

RELSKI.

Tak, tak, tak, tak —.

LAURA.

Złamana, zniszczona! Wychodzi!

RELSKI.

Po raz siedemnasty w życiu. Głośno: Może już teraz raczy pani poprosić pannę Stefanię? Do siebie, z wściekłą satysfakcją. Raz przecież! —

JOASIA wchodzi z wodą kolońską. Odświeża powietrze.

RELSKI.

A — błogosławiona bądź dziewico za te wonności.

JOASIA.

Całuje rączki, hihhi. Przechodzi.

RELSKI i STEFANIA.

RELSKI.

He! — To przecie karykaturalna farsa to życie. Zamyśla się P... se —!
Machnął ręką. Trzeba skończyć, skończyć, już raz skończyć.

STEFANIA wchodzi. W ręce ma kilka książek. Relski, milcząc, skinął głową; ona idzie uśmiechając się i witając gestem ręki. Idzie coraz wolniej: zdziwienie; stanęła, wpatrzona w jego twarz. Relski milczy przez chwilę.

RELSKI.

Przyszedłem pani powiedzieć, że dzisiaj ostatnia lekcya.

STEFANIA.

Dlaczego!!? Książki na ziemię; wsparta o stół, przerażona patrzy na Relskiego.

RELSKI spogląda, jakby nie wierzył; szalone, jawne zdumienie oblało mu twarz, wyciąga ręce—; urwany okrzyk.

STEFANII twarz w purpurze; gdy Relski wyciągnął rękę, jej dłonie, jakby magnesem ciągnięte, idą ku jego rękom: dłoń w dłoń.

RELSKI.

To nie do uwierzenia —. To straszne. Osuwa się na fotel.

STEFANIA.

To takie proste. Uklękła przy nim; zwisającą rękę Relskiego kładzie na swoją głowę. Ja czekałam. Tak czekałam na tę chwilę! Wstała; dumnie podnosi głowę; tryumfalnie potrząsa płową czupryną. Życie chwycić w lot —!

RELSKI zadrżał.

STEFANIA.

Teraz... teraz idź do ojca.

RELSKI.

Nie, nie Stefa. Błaga: Daj mi tę chwilę... zostaw mi chwilę --- Stefa, Stefa—!

STEFANIA.

O, jak to przecudnie! Więc ty nie przypuszczałeś, hahaha! Chodźmy do ojca. — Niech cały świat wie, niech wszyscy wiedzą, niech wszyscy padają na kolana przed mojem szczęściem! Przed naszym, naszym szczęściem!!

Wspólne myśli i wspólne marzenia—! I ty nie przypuszczałeś — to niesłychane!!

RELSKI.

Nie—!! Twardo. Za dumny jestem...

STEFANIA.

Wiem, wiem; ja wiem, ale to nie...

RELSKI.

...By kłamać...

STEFANIA.

...Nie słucham dalej... Ojciec mój pocziwy, on kocha mnie.

No — no, no, ja idę... ty brzydki zarozumiałcze—! Ojciec tu przyjdzie zaraz—. Wraca; ze swobodną zalotnością. A teraz... teraz wolno straszłą emancypantkę... pocałować w ten reakcyjny lok —. Podaje włosy.

RELSKI.

Mój płowy Stephanos—!! Oburącz chwyta loki, wpija w nie wargi. Potem włosy wśród palców mając, zagarnia jej głowę, całuje usta.

STEFANIA.

O-ha! Z tym okrzykiem szczęścia, z rozwartymi ramionami »leci« do ojca.

RELSKI i BORKOWSKI.

RELSKI sam. Chodzi, mnąc obu dłońmi włosy; ściska sobie skronie. Nerwowe tony jęklwego pół-śmiechu.

Haha—! To niesłychane! Klęka na fotelu, twarz, rękoma zasłoniętą, kładzie na stół. Po dłuższej chwili wstaje, jedną rękę kładzie na poręczy: postanowienie.

BORKOWSKI wchodzi. Mina uroczysta; kamizelkę poprawia sobie.

Hm... Jak się pan, łaskaw... kochany panie An... Urywa, sam nie wie dla-
czego.

RELSKI.

Po raz ostatni dzisiaj byłem w domu państwa.

Przyślę następcę; pannie Stefaniu nadal pomocą moją... ku...
słu... służyć nie mo...gę. Ukłon.

BORKOWSKI.

Panie Relski!!!

RELSKI.

Nie, nie —!!! Gest rąk, jakby bronił się przed czymś, odpychał — wybiega.

BORKOWSKI patrzy po ścianach, ogląda ubranie na sobie; formalnie piorun trzasł—! Błado
uśmiecha się — mruży pod nosem:

Mnie się wydaje... świat teraz chyba — obraca się w lewo... Staje
w drzwiach, woła głosem niepewnym: Stefa, matka — chodźcie!

BORKOWSKI, STEFANIA i BORKOWSKA.

STEFANIA wbiega, urywa — staje.

BORKOWSKA.

Dobry wieczór kochan... — Pauza. —

STEFANIA.

Gdzie—?

BORKOWSKI wskazuje drzwi.

STEFANIA usiadła. Patrzy w jeden punkt.

BORKOWSKA.

A to dla czego? Co to ma znaczyć?

BORKOWSKI.

Pch!! Łaskawco. Wzrusza ramionami.

STEFANIA.

Tato pewnie czemuś go obraził—?

BORKOWSKI.

Co obraził?! Ja ani słowa nie powiedziałem . Co ja go miałem obrażać!!? —

STEFANIA spogląda to na matkę, to na ojca.

BORKOWSKA.

Przecież, chyba mówił coś? Tak bez niczego? Co to za dziwny człowiek —.

BORKOWSKI.

Mówił—! Nic nie mówił. Powiedział: przysła zastępcę, lekcyi nie będzie dawał — czy jak — krzyknął: »nie« i poleciał — Waryat!...

STEFANIA.

Wiem! już wiem—. Co za przekłeta duma!

On bał się odmowy — on mi raz mówił, że walczy z ostatnią nędzą, nazywał siebie żebrakiem... Wiem—!

BORKOWSKI.

Jak to »żebrak«? Jaka »nędza«?

A czy ja pytam się go, łaskawco, co mu w kieszeni siedzi!?

Ja idę do niego z sercem, jak ojciec, bo wiem, że ty... tego, a on, panie, waryat—!

To jest uszanowanie dla starszego człowieka? To on mi nie mógł powiedzieć, co jest?! Czy ja dla mojego dziecka nie mam już centa na życie, czy co?

A stanowisko jakieś, to on tam chyba będzie miał. Waryat—!

STEFANIA.

Ojczulku, ojczulku—! Taki dobry, taki poczciwy. Niech ojczulek nie gniewa się —.

BORKOWSKA.

Już znowu zaczynają się pięścić. Głośno: Może to i lepiej, że się tak stało. Wychodzi. — Milczenie.

STEFANIA po namyśle.

Teraz, tato... Nie można tak dla nieporozumienia... tego tak zostawić.

Ale co robić—? Tak—; inaczej nie można. Tato — ojczulek niech idzie za nim — on jeszcze nie był proszony na wieczór...

BORKOWSKI.

Co, co—??

STEFANIA.

...Albo ja napiszę. Nie, to na próżno. Przekłeta duma—! Tato niech sam, koniecznie osobiście, mój najdroższy — niech do niego — i poprosi na wieczór. Osobiście — tato...

BORKOWSKI.

Stefa—!?

STEFANIA.

Tato... odmawia—?...

Dla szczęścia mojego nie chce popełnić małego nietaktu?

BORKOWSKI.

Czy ty także — zmysły postradałaś? Ja żebym prosił, takiego chłystka??

STEFANIA.

Ojciec wie... Cofa się, mówi silnie, spokojnie: że ja tatę bardzo kocham, że ja... że... ale, jeżeli ojciec zaraz nie pójdzie za nim — to ja pójdę sama, i ten wieczór zostanę u niego—!! — Pauza.

BORKOWSKI.

...Byłeś ty tylko... tego nie żałowała—!!

STEFANIA wybiega za ojcem; po sekundzie wraca.

Poszedł—...

ZOSIA, RELSKI, BORKOWSKI.

Wieczór. — W pokoju Relskiego jest zupełnie ciemno. Tylko blade czerwona plama światła z otwartego pieca płąży się po podłodze, oświetla skuloną postać Zosi. — Zosia bok głowy oparty ma o kołyskę, w pozycji półleżącej śpi na podłodze. — Zmrok; cisza. — Zosia śpi; sen jakiś ją morzy: jęk; cicho — znowu matowy, przeciągły jęk. Teraz ciężko oddycha, leży nieruchoma. — Wchodzi Relski. Kapelusz, głęboko wsunięty na czoło; ręce w kieszeniach zarzutki. Z głową na dół pochyloną, wlecze się przez pokój, znużony, znieczulony. Automatyycznie podchodzi ku przodowi sceny, nie patrząc na Zosię. Stoi chwilę, potem ściąga kapelusz jakby ręką martwą, trzyma go w dłoni zwieszanej wzdłuż ciała: kapelusz wysuwa się na ziemię. Relski podnosi ramiona, rozkłada je wszcz, coś, jak nerwowe ziewnięcie, jakby pół-jęk urwany albo ciężkie westchnienie.

RELSKI szepcze do siebie:

Ciemno —. Znużony sunie się ku łóżku, kładzie się w ubraniu.

Jest cicho, tylko drzewo płonące co chwila trzaska. Wtem: głośny jęk Zosi.

RELSKI zwlókł się z łóżka, chwiejnie ku niej podchodzi, staje. Po chwili:

Śpi... Na ziemi.—. Przy kołysce. Dotyka się głowy Zosi: Zosiu —.

ZOSIA poruszyła się, mruknęła coś przez sen.

RELSKI powtarza głośniejsz, lecz bardzo miękko:

Zosiu —.

ZOSIA budzi się powoli. Pół sennie pyta:

Kto tu jest?

RELSKI.

Ja jestem.

ZOSIA.

Już noc... Jak to dobrze, że jesteś. Opiera głowę o jego kolano. Antosiu, daj mi wody napić się.

RELSKI idzie ku drzwiom, przynosi garnuszek wody.

ZOSIA pije; garnuszek postawiła na podłodze. Prostuje się.
Siądź tu, Antoś. Przy mnie.

RELSKI siada przy niej na ziemi.

ZOSIA.

Tak ogień szczyła—.

RELSKI.

...Ogień. Rozłożone palce obu rąk wyciąga, ogrzewa w blasku.

ZOSIA.

Ty z lekcji przyszedłeś?

RELSKI milczy. — Chrząst płonącego drzewa.

ZOSIA.

Antoś, ty teraz... nie jesteś zły?

RELSKI.

Nie, Zosiu.

ZOSIA.

To ja ci coś powiem. Głowę opiera o brzeg kołyski, mówi cicho, jakby półsennie, lecz głosem czystym: A może nie powiedziec? i tak już przeszło. Milczenie. Jak ty w południe poszedłeś, to mnie tak dziwnie, głowa mnie rozboleła — i takie miałam myśli!

Potem to ja siadłam przy kołysce na ziemi, długo siedziałam, aż i usnęłam.

A sen miałam okropny. Nawet ci nie powiem.

...Ludzie mówią: Sen mara, Bóg wiara. Tak mówią.

Potem bardzo płakałam, tak mi było zimno, wszystko mnie bolało, jakby mnie kto zbił.

Ani nawet nie mogłam wstać; aż dopiero Walentowa przyszła, zapaliła w piecu, a ja znowu zasnęłam.

Ale ty przyszedłeś.

...Antoś —...

RELSKI.

Co, Zosiu?

ZOSIA.

Ja chciałabym cię prosić... Ale nie śmiem.

RELSKI.

Mów, Zosiu.

ZOSIA.

Żebyś ty... żebyś, ja chciałabym bardzo prosić ciebie, żebyś ty tam... na tę lekcję nie chodził... Ale nie jesteś zły, że ja to mówię? —

RELSKI.

Nie.

ZOSIA.

Ja pójdę do magazynu, ja robiła będę co sił, ja to wszystko odrobię; Antosiu, mój!!

RELSKI.

Dzisiaj byłem po raz ostatni.

ZOSIA.

Joj, Antosieńku!!! To ty mnie kochasz, mój...

RELSKI.

Jezus Marya!! Zosia wstań —. Zerwał się. Słuchaj — ty kochasz mnie?

ZOSIA.

Ty się... pytasz...

RELSKI.

Słuchaj: ja, ja jutro idę — dam na zapowiedzi...

ZOSIA.

Jezu!! Krzyk szczęścia.

RELSKI.

...I weźmiemy ślub. Ale za kościołem pod progiem, palnę sobie w łeb!!

ZOSIA.

Antoś!!!

RELSKI.

To tak nie może być; tak dłużej nie może być! Ja nie mogę konać całymi miesiącami — ja oszaleję, Zosiu, zlituj się, ja oszaleję—!

ZOSIA.

Jezu Nazareński, ulituj się — Jezu, Jezu.

RELSKI.

He he! Rano kartoflanka, a wieczór nektar. Robi się taka miesza-
ninka, hehe, tak się chodzi codziennie w błogiem podnieceniu.

Ciągle pijany, pijany szczęściem. Wściekłość!!

Zosiu, tyś mi skradła pół mojego życia; ty mi zatrzymałaś najpię-
kniesze lata, ty mnie pchnęłaś w bagno — nie, w to małe, ohydne
bajoro —! Błoto cieknie mi uszami, błoto pcha się do ust, lezie do
oczu, lepi się po twarzy, po ciele — błoto, błoto —!!

Ja oszaleję, ja oszaleję! Pada na łóżko; głowę w poduszce tarza.

ZOSIA.

Matko Niepokalana, Matko Niepokalana! Antoś, Antoś mój złoty —
no to co ja mam robić...

Antoś, ja... wszystko, co tylko chcesz...

RELSKI.

Jedna chwila — jedna chwila —!

ZOSIA.

A to już po wszystkiemu — już po wszystkiemu.

Antoś, ja teraz zrozumiałam już wszystko. Ale cóż ja winna...
Ja wiem, że ja jestem winna.

Ty mnie — nigdy nie kochałeś.

Już teraz wiem — o moja dolo —.

RELSKI.

Zosiu, ja nie mogę powiedzieć, że ja cię nie Kocham, bo ciebie nie
można, bo ciebie ja nie Kochać nie mogę, ale to jest coś innego —.

A razem nie możemy żyć. Ja kłamać nie chcę, a tak być
nie może.

ZOSIA.

Co ja mam robić?

Już ja wiem — co każeś, ja zrobię.

RELSKI.

Siadaj, Zosiu, przy mnie.

ZOSIA siada obok niego na krawędzi łóżka.

RELSKI.

Ja wiem; ale to nie może inaczej być. Ja cię bardzo skrzywdziłem i ja nie mam prawa...

ZOSIA.

Mój Antosiu, ty masz prawo, bo cóż... ja przecież przyszłam tutaj sama. Ale cóż ja winna?

Ty masz prawo, każdy tak powie.

RELSKI.

Ale ja tak nie powiem. Mnie nikt nie obchodzi, niech sobie mówią, co chcą. Ja sam sobie prawa daję — ale tego prawa ja sobie nadać nie mogę. Jak zechcesz, tak zrobisz. Widzisz, Zosiu, ty jesteś młoda i ładna, gdy wrócisz do matki, wyjdiesz potem za męż...

ZOSIA.

Antoś; czy ja sobie zasłużyłam, żebyś ty tak do mnie mówił! Jak do jakiej z ulicy.

RELSKI.

Nie, nie! Całuje ręce Zosi. Ty nie rozumiesz mnie. Ja ciebie szanuję, bardzo, bardzo; ja dla ciebie nigdy nie stracę szacunku, bo widzisz Zosiu, miłość jest święta wszędzie i zawsze — a ty jesteś dobra, taka nie do uwierzenia dobra... i to jest najstraszniejsza rzecz!

ZOSIA.

Antoś, no to ja... mój Boże, mój Boże!... to ja się do mamy wrócę, co?

RELSKI.

Oszaleć! I ani słowa wymówki—! Ta okropna dobroć—. Jednego słowa wymówki—!

ZOSIA.

Ja jutro pójde. Wiem, że na zawsze.

I mój sen się sprawdził... Że już raz na zawsze — o moja dolo—!

RELSKI.

Nie, nie, nie na zawsze! My będziemy się widywać, my... ja będę... nie!! Na Boga, tylko nie łudzić!

Zosiu, na zawsze! My nigdy już nie będziemy się widzieć.

RELSKI, ZOSIA, BORKOWSKI.

BORKOWSKI wchodzi.

Tu pan Relski mieszka?

RELSKI milczy.

BORKOWSKI.

Co za przekłete ciemno, łaskawco. Potyka się o stołek, siada. Ledwo do-
pytałem się.

RELSKI.

Ja... jestem.

BORKOWSKI.

A zaświeć-że pan, do stu katów, łaskawco. Uff—. Ładne schody!

RELSKI.

Czem... cz..em mogę służyć...? Hehe, nie wie... wiem, gdzie lampa,
śmieszne, zdaje się, nafty...

I jestem zdenerwowany — nie wiem, czem mogę służyć — —.

BORKOWSKI.

Niechże pan nie szuka. Nie będziemy długo konferowali. Pan mnie
dzisiaj obraziłeś, łaskawco. Brakiem zaufania.

RELSKI.

Ale...

BORKOWSKI.

Tak jest, panie. Pan jesteś młody, a ja jestem stary. A ja i tak
przychodzę do pana, zaprosić pana...

Chociaż... łaskawco... hm.

Co tu długo owijać w bawełnę; ja o wszystkim wiem, od dawna, i to nie jest zbrodnia.

Jesteście młodzi, moja córka kocha pana...

Jezus!!!

ZOSIA. Krzyk.

BORKOWSKI.

...Co to jest!? Kto tu jest?! — Milczenie. — Zaświeć pan lampę!! Świeci zapalkę; światło pada na twarz Zosi. Zaświeć pan... tu jest... tu jest tego... zapala świecę. tu na stole...

Jasno.

BORKOWSKI patrzy na Zosię, stojącą, jak słup, na Relskiego, który głowę podniósł do góry. Odwraca się; kołyska. Cofa się ku drzwiom:

Przepraszam. — Pomyliłem się. — Przepraszam. Milczenie.

ZOSIA.

Antoś —. Antoś —.

RELSKI milczy.

ZOSIA.

To ta panna... z jasnymi lokami...? ta panna z ja...snymi lo...

BORKOWSKI wpada; trzęsie się.

Od mojego domu — wara!!

Do mojej córki, żebyś się pan nie zbliżył —.

I ja... panu powiadam, że to jest podłoga... ja panu...

RELSKI.

Kołtun —. Precz —. Porwał stołek.

BORKOWSKI stoi chwilę w drzwiach. — RELSKIEMU ręka ze stołkiem opada. — BORKOWSKI wychodzi.

RELSKI do siebie.

Powiedział: — podły — i ja nie dałem mu w twarz —!

ZOSIA przyskakuje; jak tygrysyca.

Ty... ty...! To taką ty prawdę gadałeś?? — Żeby inną mieć!!? —

RELSKI.

Zosia... milcz —.

ZOSIA drgnęła; cofa się. Porywa chustkę, biegnie ku kołysce.

Dziecko jest moje. Otula je. A centa od pana nie potrzebuję —!

To wszystko jest panowe —!

Stoi w progu. Długie milczenie. Powieki drżą jej i wargi. Wylkała:

...Aby ci tego — Bóg w niebie nie zapomniał —! Wyszła.

RELSKI stoi niemy, zmartwiał. Nagle chwyta kurczowo poręcz stołka —:

...Powiedział — podły! — i ja... nie dałem mu... w twarz??!! —

KONIEC KARYKATUR.



J.-A. KISIELEWSKIEGO:

KARYKATURY. Komedia.

W SIECI. Wesoły dramat. Dylogia:

I. W sieci.

II. Ostatnie Spotkanie.

(Dwa wydania).

SONATA. Dramat.

O TEATRZE JAPOŃSKIM.

KARYKATURY

wystawiono na scenie Teatru Miejskiego
w Krakowie dnia 8 kwietnia 1899 roku.

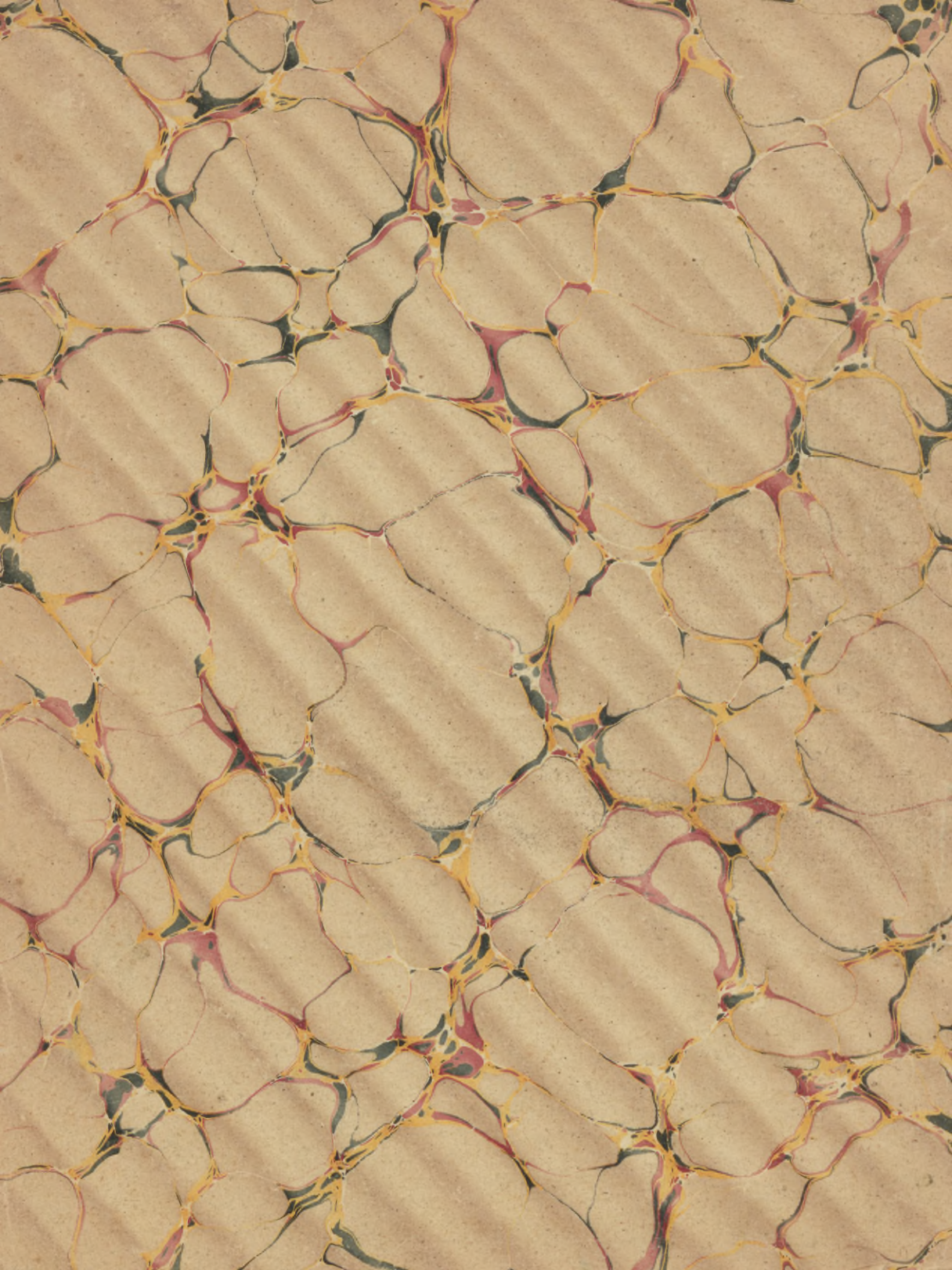
Prawo przekładu i wprowadzania na
sceny zastrzeżone we wszystkich krajach.

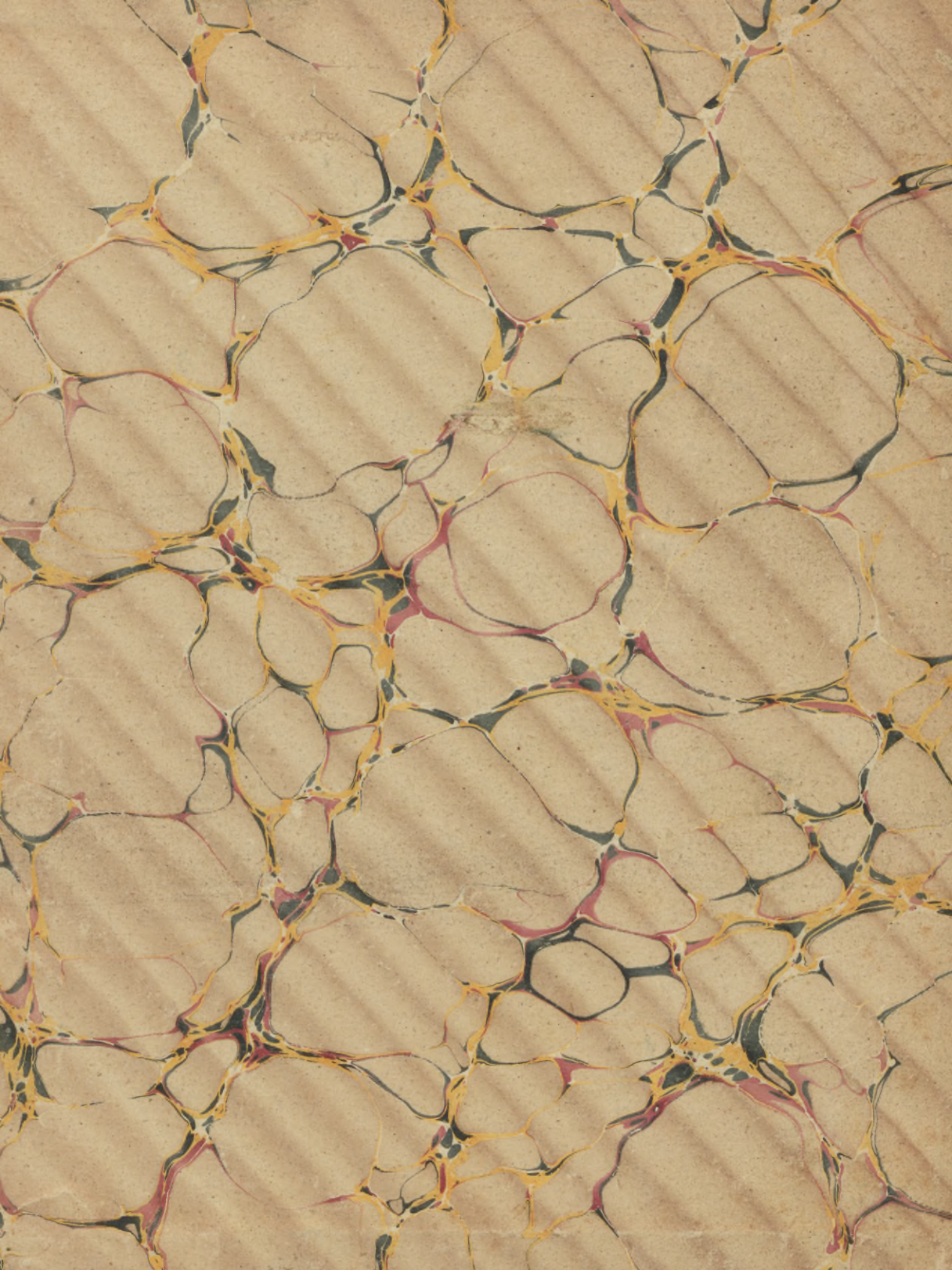
NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE.
SKŁAD GŁÓWNY: LWÓW, UL. MOCHNACKIEGO, L. 6.
DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

30

240W

320574





...A W KIELCACH
BIBLIOTEKA

06839

Biblioteka WSP Kielce



0149869